BIBLIOTEKA INSTYTUTU ... W ...
Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego
CIV 9013

Cena zł 20

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok V | Warszawa, 21 sierpień 1949 r. | Nr 33 (195)

TREŚĆ NUMERU: Jan Józef Szczepański — Droga; Józef Ryszard Łoniowski — Perspektywy katolicyzmu w nowych Indiach J. Guziński — Skrzypki; Kazimierz Wołkowicz — Film francuski podczas okupacji; Paweł Jasienica — Wepchnięci w wojnę; Tydzień kulturalny;

Konstanty Łubieński

Błędne drogi ks. Wawryna

Upłynęło już przeszło pół roku od ukazania się na łamach „Dziś i Jutro" moich dwu artykułów (List otwarty do J. Łady z dnia 5.7. 1948 i „Wyjaśnienia" z dnia 16.1. 1949 r.) na temat stosunku katolicyzmu do socjalistycznego ustroju społeczno-gospodarczego, Byłby zatem czas aby dokonać pewnych rekapitulacji. Zainteresowanie, poruszonym przeze mnie problemem, było i jak się zdaje jest jeszcze dość duże, aczkolwiek nie znalazło pełnego wyrazu na terenie publicystyki. Na łamach prasy katolickiej po dość długim okresie milczenia wystąpił ks. St. Wawryn T. J. czołowy publicysta tego pisma (Przegląd Powszechny nr 3 marzec 1949) który zaatakował stanowisko zajęte w wymienionych artykułach. Moi koledzy redakcyjni Wojciech Kętrzyński, Mikołaj Rostworowski i Andrzej Micewski replikowali ks. Wawrynowi na łamach „Dziś i Jutro" (Rozważania ideologiczne z 15.5 1949) znacznie rozszerzając argumentacje i komentując sformułowania zawarte w moich artykułach. Z kolei ks. Wawryn zabrał głos kontynuując atak na szerszej jeszcze płaszczyźnie, ponieważ przedmiotem jego były zarówno moje artykuły jak i wyżej wymienionych. Podaję przebieg dyskusji, aby osoby, które zainteresują się powyższą dyskusją mogły zapoznać się z wypowiedziami obu stron. Poza „Przeglądem Powszechnym" inne czasopisma katolickie uznały za właściwe ograniczyć się tylko do złośliwych wzmianek na temat moich artykułów albo do cytatów z marcowego artykułu ks. Wawryna i to w ten sposób spreparowanych, aby czytelnik w żadnym razie nie mógł obiektywnie ocenić moich poglądów. Jak wiadomo metodę taką spotyka się często w publicystyce, ale pozostawiam ocenie czytelników czy metoda taka jest zgodna z etyką obowiązującą publicystykę katolicką.

Prasa marksistowska jak dotąd nie wzięła udziału w toczącej się dyskusji.

Szczególnie ożywiona dyskusja toczyła się jednakże poza publicystyką. Odbywały się zebrania poświęcone poruszonym przez nas tematom, a nawet seminaria uniwersyteckie na których zarówno marksiści jak i socjologowie katoliccy poddawali krytycznej ocenie poglądy wyrażone we wspomnianych artykułach. Podkreślam powyższe fakty przede wszystkim dlatego, aby zwrócić uwagę, że problem katolicyzm i socjalizm jest jednym z tych problemów, które najbardziej poruszają nasze społeczeństwo, które niepokoją serca i umysły wielu ludzi. Nie myślę tutaj o tzw. „bencwalskich", którzy również ujawnili się w toku dyskusji, lecz myślę przede wszystkim o ogromnej masie ludzi pracy, którzy budują państwo socjalistyczne a równocześnie są katolikami i katolikami zawsze będą. Nad niepokojem tych ludzi nie wolno przejść do porządku dziennego. Im trzeba wskazać prawdę. Tego wymaga zarówno dobro Kościoła jak i narodu.

Wśród osób zajmujących stanowisko wobec wyrażonych przeze mnie i moich kolegów poglądów znalazło się wielu przeciwników, nieco mniej zwolenników, ale najwięcej niezdecydowanych. Przeciwnicy rekrutują się przeważnie z inteligencji i to starszej wiekiem. Zwolenników najwięcej spotkałem wśród młodzieży. Wśród księży wielu zajęło stanowisko negatywne, najwięcej unikało wypowiedzi, ale znaleźli się i entuzjaści naszego stanowiska Wydaje się, że o postawie oponentów decydują na ogół czynniki polityczne, o postawie zwolenników prawie wyłącznie ideologiczne.

W niniejszym artykule postaram się zająć stanowisko wobec różnych wypowiedzi na temat poglądów społeczno-gospodarczych naszej grupy. Ponieważ wypowiedź ks. Wawryna była publiczna i najbardziej skonkretyzowana więc też moje uwagi będą dotyczyć przede wszystkim jego artykułów.

Ks. redaktor Wawryn znany już przed wojną z szeregu wystąpień w sprawach społeczno-gospodarczych, ocenianych wówczas przez koła katolickie jako radykalne, niewątpliwie rozumie trudności tych, którzy w obozie katolickim wyrąbują drogę dla nowych myśli. Sądzę, że stąd głównie pochodzi szereg wyrazów życzliwości w jego artykułach w stosunku do naszej grupy. Jesteśmy mu za to wdzięczni, aczkolwiek nie możemy ukryć żalu i zdziwienia, że właśnie on jest przeciw nam a nie z nami. Z drugiej strony ks. Wawryn nie omieszkał pod naszym adresem użyć słów wyjątkowo ostrych i złośliwych, a przytym niesłusznych. Zapisujemy je jednak przede wszstkim na konto jego temperamentu publicystycznego. Zważywszy na powagę omawianej sprawy i rozległość tematu nie będziemy stosować zasady „pięknym za nadobne". Również bez odpowiedzi pozostawiam pewne złośliwości dotyczące mojego rzekomego stosunku do zasług moich przodków dla katolicyzmu w Polsce. Sądzę, że w tej dyskusji należy unikać tematów ściśle osobistych. De minimis non curatur.

Po powyższych wstępnych i wprowadzających uwagach przechodzę do „meritum" i zakreślam następujący plan niniejszego artykułu:

1. ustalenie punktów w których stwierdzam zgodność pomiędzy ks. Wawrynem a naszą grupą.
2. ustalenie i przedyskutowanie spraw rzeczywiście spornych,
3. sformułowanie konkluzji, które nasuwają się w wyniku przeprowadzonej dyskusji.

II.

Pierwszą i najbardziej zasadniczą zgodność stwierdzam we wspólnym przekonaniu o niezbędnej konieczności budowy nowego ustroju społeczno-gospodarczego i oparcia go o zasady katolicyzmu. Myśl tę pięknie wyraża ks. Wawryn pisząc „aby budowy nowego porządku i ładu nie wznoszono na usypiskach piasku lecz na niezłomnej skale ewangelicznych wypróbowanych przez wieki zasad".

Walkę o nowy ustrój społeczno-gospodarczy prowadzimy od początku naszej działalności, a jeśli widząc w socjalistycznym ustroju społeczno - gospodarczym ów nowy porządek i ład domagamy się:

1) aby rodzina była uznana za podstawową komórkę życia społecznego z wyciągnięciem wszystkich konsekwencji wynikających z takiego uznania,

2) aby w nieuniknionej walce klas uwzględniano normy etyki katolickiej,

3) aby warunki egzystencji człowieka pracy w całej pełni odpowiadały zasadom doktryny personalizmu,

4) aby koncepcja sprawiedliwego podziału dochodu narodowe uwzględniała katolickie ujęcie miłości bliźniego,

5) aby podstawą współpracy pomiędzy ludźmi i narodami była miłość chrześcijańska,

6) oraz jeśli jako cel działalności gospodarczej wysuwamy stworzenie podstaw materialnych dla rozwoju osobowości każdego człowieka i w końcu, jeśli wyrażamy przekonanie, że trwałe zwycięstwo socjalizmu nastąpi wówczas jeśli społeczeństwa realizujące ustrój socjalistyczny będą przesiąknięte duchem katolicyzmu — to chyba mamy prawo twierdzić, że nowy ustrój chcemy oprzeć o zasady ewangeliczne.

Powyższe postulaty zostały wyraźnie przez nas sformułowane i publicznie w artykułach ogłoszone. Jeśli ich ktoś nie zauważył to albo jest ślepcem albo z takich czy innych względów zauważyć ich nie chciał.

Nie zgadzamy się z ks. Wawrynem czy właśnie socjalistyczny ustrój społeczno-gospodarczy ma być tym nowym ładem, natomiast w naszym przekonaniu zgadzamy się co do postulatów jakie katolicyzm stawia w stosunku do każdego ustroju społeczno-gospodarczego. Mało tego, ks. Wawryn określa naszą koncepcję „zespolenia dwóch najpotężniejszych sił na ziemi: socjalizmu i katolicyzmu jako dobrą i wspaniałą". Wprawdzie ocenia ją jako nierealną ale to już inna sprawa. Natomiast faktem jest, że istnieje zgodność co do światopoglądowego podłoża ustroju społeczno-gospodarczego a ten fakt ma zasadnicze znaczenie dla celowości dyskutowania o zagadnieniach społeczno-gospodarczych. Określając powyższą myśl lapidarnie wyrażam przekonanie, że zarówno ks. Wawrynowi jak i nam przyświeca wspólny cel: **Chrystianizacja** stosunków społeczno-gospodarczych .

Następnym punktem co do którego naszym zdaniem, mimo pewnych odmiennnych pozorów nie istnieją rozbieżności jest stosunek do katolickiej nauki społecznej. Podkreślam nauki a nie aktualnych koncepcji. Sprawa koncepcji, przez to rozumiem konkretne wzorce ustrojowe, jest niewątpliwie przedmiotem spornym (co będzie omówione poniżej). Natomiast naukę katolicką na odcinku społecznym jak najbardziej szanujemy i w całej pełni doceniamy. Dlatego też mogę traktować tylko jako nieporozumienie uwagę ks. Wawryna że my naukę tę lekceważymy. Wyraźnie podkreśliłem w artykule z 16.I.1949, że społeczne encykliki papieskie mają wartość nieprzemijającą. Wyraźnie stwierdzono w „Dziś i Jutro" z dnia 15.5 1949, że encykliki papieskie stanowią dla wszystkich katolików zasadniczą podstawę rozwoju myślowego i moralnego". Z największym szacunkiem czytamy dzieła św. Tomasza z Akwinu, jak również dzieła wspomnianych przez ks. Wawryna ks. Pescha T. J., ks. Messnera i wielu innych. Ale nie tylko czytamy, lecz właśnie w ich dziełach znajdujemy myśli, które nas zapładniają, które są podstawą naszego stanowiska w sprawach społeczno gospodarczych. Aby nie być gołosłownym na marginesie wspomnę dla przykładu, że właśnie sformułowanie św. Tomasza, że prawo prywatnej własności nie jest „principia per se nota" lecz tylko „obvis examina" uświadomiło nam możliwość poddania z punktu widzenia etyki katolickiej zasadniczej rewizji stosunek do tego prawa. Ileż myśli nam bliskich spotykamy u innych wspomnianych przez ks. Wawryna socjologów katolickich. I znowu dla przykładu przytaczam słowa ks. Messnera, że „prawo nieposiadających do dóbr zbytecznych (będących własnością bogaczy — mój przypis) jest prawem do wyegzekwowania jeśli właściciel nie decyduje się do ich oddania z własnego popędu „Nie możemy zaprzeczyć, że niektórzy z pisarzy katolickich rewindowali swoje poglądy, cofając się wstecz w naszym przekonaniu, tym niemniej całość ich prac wzbogaciła dorobek katolickiej nauki społecznej i staje się źródłem nowych postępowych koncepcji.

Również całkowicie podzielamy pogląd ks. Wawryna „że prawda społeczna (ujęta właśnie przez naukę katolicką — nasz przypis) nie jest wcale jakąś dyscypliną ze wszech miar wykończoną. Przeciwnie dźwignięto dopiero jej główne zręby, wyciągnięto zasadnicze tylko kontury. Pełne oblicze jej i dokładne jego rysy kryją jeszcze mroki tajemnicy.

Kończąc ten punkt z całym naciskiem podkreślam, że z takim samym szacunkiem jak ks. Wawryn odnosimy się do katolickiej nauki społecznej, co nie przeszkadza nam poddawać krytyce pewne wzorce ustrojowe, które aktualnie poszczególni socjologowie katoliccy projektują.

Przechodząc już na płaszczyznę konkretów społeczno - gospodarczych nie mogę pominąć tej wyraźnej zgodności jaka występuje w całkowicie negatywnym stosunku do ustroju późno-kapitalistycznego. Do takiego stwierdzenia skłaniają mnie nie tyle omawiane artykuły ks. Wawryna w których ten temat prawie nie jest poru-

Dm 1791 ...

szony ile znane stanowisko encyklik oraz zamieszczony w tym samym numerze „Przeglądu Powszechnego“ co artykuł ks. Wawryna, artykuł czołowego publicysty Osservatora Romano G. della Torre pt. „Kościół i Kapitalizm“.

Omawiając encykliki Leona XIII i Piusa XI della Torre pisze: „takie są: duch nauka i postawa Kościoła wobec kapitalizmu, który dla chrześcijaństwa jest grzechem przeciw naturze, podobnie jak w dziedzinie prawa: „rośnijcie i rozmnażajcie się“ grzechem jest ograniczenie potomstwa. Kapitalizm wychwytuje, odbiera i wysusza bogactwo. Innymi słowy nie pozwala na to aby rosła liczba tych którzy go używają; przeszkadza wzrostowi rozdziału i równomiernemu rozkładowi dóbr, krzyżując plany Opatrzności Bożej, która dała je dla wszystkich ludzi. Zasada to, warunek, prawo nienaruszalne. Prawo to nie jest w sprzeczności z prawem własności, jak to zaznacza jeszcze Leon XIII dlatego, że — według św. Tomasza — człowiek nie powinien uważać dóbr zewnętrznych za dobra własne lecz za dobra wspólne. Znaczy to że nawet komunizm jako system ekonomiczny pomijając w tej chwili wszelką jego filozofię — nie jest w takiej mierze antytezą nie tak stoi w opozycji i w sprzeczności do istoty chrześcijaństwa, jak kapitalizm. Staje się nim dopiero wtedy kiedy wyznaje ateizm. Kapitalizm nie posiada myśli. Jest on bezbożny w swej strukturze. Złoto jest jego bogiem a nie Ten który głosił dla wszystkich dostęp do złota, zarówno złota — produktu ziemi lub warsztatu, jak i do złota pochodzącego z własności i pracy. Kapitalizm jest bezbożny nie w filozofii, której nie posiada, lecz w swej praktyce, która — nie jest to wcale gra słów — jest całą jego filozofią: praktyka nienasyconych pożądań, łupiestwa, chciwości wszechwładzy, panowania“.

Niechże czytelnik sam oceni jak dalece powyższe poglądy są zgodne z naszymi poglądami, w szczególności z tym co napisałem w artykule z dnia 16 stycznia br.

Ramy artykułowe nie pozwalają mi na ustalenie innych zbieżności, które z pewnością znalazły by się, ani na bardziej szczegółowe analizowanie zbieżności omówionych. Może do tego tematu jeszcze powrócimy w innym artykule. Powyżej starałem się podkreślić jedynie te, które uważam za najistotniejsze i które pozwalają skierować dyskusję na właściwą płaszczyznę. W ten sposób dyskusja stanie się racjonalna, gdyż jej przedmiotem będzie to co jest istotnie sporne.

III.

Do najistotniejszych przedmiotów sporu należą dwa zagadnienia: 1. koncepcja ustroju społeczno-gospodarczego, 2. interpretacja społecznych encyklik papieskich.

W zakresie pierwszego zagadnienia przedmiot sporu przedstawia się następująco:

Ks. Wawryn komentując encykliki papieskie twierdzi, że wprawdzie może nastąpić „zastrzeżenie dla państwa pewnych rodzajów środków wytwórczych, ale tylko w wypadku realnej i oczywistej konieczności o której istnieniu nie można sądzić lekkomyślnie „czyli innymi słowy wg. ks. Wawryna uspołecznienie należy traktować tylko jako wyjątek i to szczególny wyjątek od zasady, która polega na utrzymaniu własności prywatnej na środkach wytwórczych. Równocześnie ks. Wawryn domaga się jak najszczersze go upowszechnienia własności prywatnej na środkach wytwórczych zarówno w formie własności indywidualnej, na małych i średnich przedsiębiorstwach jak i w formie własności spadkowej, obejmującej wielkie przedsiębiorstwa. W konsekwencji takie stanowiska w zakresie systemu własnościowego ks. Wawryn opowiada się jako gorący zwolennik korporacjonizmu, a więc ustroju polegającego na zrzeszaniu pracowników i pracodawców w ramach tych samych branż.

Nasze stanowisko możemy krótko określić jako wręcz odwrotne. Uważamy bowiem, że właśnie owa realna i oczywista konieczność nakazują przyjęcie jako zasady uspołecznienie środków wytwórczych, natomiast pozostawienie ich we władaniu prywatnym może być traktowane tylko jako wyjątek. W konsekwencji, domagając się jak najszerszego upowszechnienia własności prywatnej na dobrach konsumcyjnych i użytkowych przeciwstawiamy się upowszechnianiu własności na środkach wytwórczych zarówno w formie własności indywidualnej jak i spółkowej. Oczywiście przy takim systemie własnościowym korporacjonizm w znaczeniu powyżej określonym staje się nieaktualnym.

Zaznaczam, że w artykule z dnia 16.I. 1949 starałem się wyjaśnić dlaczego opowiadamy się za ustrojem polegającym na uspołecznieniu środków wytwórczych. Tematowi temu poświęciłem znaczną część artykułu. Przytoczyłem szereg argumentów. Niestety ks. Wawryn w swoich artykułach atakując nasze stanowisko nie wysunął ani jednego contr-argumentu z dziedziny społeczno-gospodarczej. Natomiast ograniczył się jedynie do naszkicowania ustroju korporacyjnego opartego o prywatną własność środków produkcji nie podając przy tym żadnych merytorycznych argumentów przemawiających za tym ustrojem. Dobrze jednak stało się, że ks. Wawryn podał przynajmniej pewne sformułowania w zakresie społeczno-gospodarczym gdyż w ten sposób powstała możliwość dyskutowania konkretnych rozwiązań społeczno gospodarczych, a tylko dyskusja na tej płaszczyźnie pozwala na ustalenie po czyjej stronie leży słuszność.

Jak to wynika z wywodów zawartych w poprzedniej części artykułu nie zachodzi między nami rozbieżność co do celu działalności gospodarczej. Jest to zatem wspólny punkt wyjścia. Określiłem powyżej, że celem działalności gospodarczej jest stworzenie podstaw materialnych dla rozwoju osobowości każdego człowieka. Przenosząc tę myśl na płaszczyznę ekonomiczną można ustalić, że celem działalności gospodarczej jest stały i maksymalny wzrost dochodu narodowego oraz sprawiedliwy jego podział. Oceniając koncepcje ks. Wawryna z tego punktu widzenia twierdzę, że koncepcja ta nie może spełnić ani pierwszego (stały i maksymalny wzrost dochodu narodowego) ani drugiego (sprawiedliwy podział) postulatu ponieważ:

1) oparcie produkcji na małych i średnich przedsiębiorstwach prywatnych jest w istniejących warunkach sprzeczne z racjonalną gospodarką, a zatem nie może prowadzić do stałego i maksymalnego wzrostu dochodu narodowego,

2) kncepcja spółek robotniczych obejmujących wielkie przedsiębiorstwa w formie tzw. akcjonariatu pracy jest nierealna,

3) ustrój korporacyjny naszkicowany przez ks. Wawryna jest w istocie rzeczy ustrojem kapitalistycznym i w konsekwencji musi prowadzić do wszystkich znanych i ogólnie potępianych konsekwencji tego ustroju.

ad 1) Jedną z najbardziej charakterystycznych cech współczesności jest nostęp techniczny. W ostatnim dwudziestoleciu wynalazczość i stosowanie nowych urządzeń technicznych osiągnęły dynamikę dotąd niespotykaną. W życiu gospodarczym postęp techniczny powoduje pogłębianie się podziału pracy, masowość produkcji, potanienie kosztów produkcji i w rezultacie możliwość udostępnienia produktów najszerszym masom. Racjonalna zatem gospodarka nakazuje maksymalne wykorzystanie postępu technicznego, który pozwala na wzrost dochodu narodowego zarówno od strony zwiększenia produkcji jak i obniżania kosztów. Wyłania się pytanie czy przy oparciu produkcji na małych i średnich przedsiębiorstwach ów postulat racjonalnej gospodarki może być spełniony? Jeśli chodzi o racjonalną gospodarkę w skali gospodarki społecznej a nie w skali gospodarki indywidualnej odpowiedź musi wypaść negatywnie. Z punktu widzenia właściciela prywatnego, za stosowanie nowych urządzeń jest racjonalne jeśli mieści się w granicach opłacalności indywidualnej. Kombajn czy t[illegible] są na pewno nieopłacalne [illegible]odarstwie o obszarze 10[illegible] Natomiast opłacalność [illegible] maszyn będzie wzrastał [illegible]arę wzrostu wielkości [illegible]rstwa i wzrostu pr[illegible]niku znacznie wię[illegible]ści wykorzystywa[illegible]nicznego w wielkich przedsiębiorstwach aniżeli w małych, koszta produkcji na jednostkę będą znacznie niższe w wielkich przedsiębiorstwach i w rezultacie będzie większa ich rentowność, a produkt tańszy. Upowszechnianie zatem małych i średnich przedsiębiorstw byłoby równoznaczne z rezygnacją z dobrodziejstw postępu technicznego, a więc z masowości produkcji i możliwości maksymalnego zaspakajania potrzeb całego społeczeństwa. A cóż mówi rzeczywistość? Zjawisko zanikania małych i średnich przedsiębiorstw na rzecz dużych jest zjawiskiem powszechnym. Zjawisko to występuje tym wyraźniej im większy jest stopień uzbrojenia technicznego danego kraju. Małe i średnie przedsiębiorstwa utrzymują się jedynie w tych dziedzinach, gdzie poziom techniczny jest jeszcze niski. Ale czyż wiele takich dziedzin jeszcze pozostało? Od produkcji węgla, wyrobów hutniczych i metalowych poprzez produkcję garnków i tekstylii do środków żywności, wszystkie te dziedziny są, względnie mogą być w wyniku postępu technicznego, przedmiotem produkcji masowej, a tam gdzie występuje produkcja masowa nie ma miejsca dla małych i średnich przedsiębiorstw. Kraj, którego produkcja będzie oparta o małe i średnie przedsiębiorstwa, wówczas kiedy w innych krajach dokonywuje się koncentracja przedsiębiorstw w celu osiągnięcia masowości produkcji, stanie się krajem zacofania gospodarczego, a co gorsza nędzy ogromnej większości społeczeństwa. Jednakże w ustroju kapitalistycznym bazowanie na małych i średnich przedsiębiorstwach nie tylko ogranicza możliwość maksymalnego wzrostu dochodu narodowego lecz zagraża stałości wzrostu tego dochodu. Stałość wzrostu dochodu narodowego wymaga bowiem właściwego podziału dochodu przedsiębiorstwa na część konsumowaną i oszczędzaną. Im mniejsze przedsiębiorstwo tym ciężar oszczędzania jest większy a tendencja do zwiększania konsumcji silniejsza. Również fluktuacje cen tak często występujące w ustroju kapitalistycznym mogą oddziaływać niekorzystnie (np. w rolnictwie w czasach pokojowych jest to regułą) na rozmiary oszczędności. A przecież wielkość oszczędności warunkuje wielkość inwestycji, którym należy zapewnić ciągłość, w przeciwnym bowiem razie nie można osiągnąć wzrostu dochodu narodowego. Jakie mogą być tego konsekwencję przy stałym wzroście ludności i dążeniu do stałego zwiększania standartu życiowego chyba nie trzeba wyjaśniać.

Wywody powyższe mają na celu określenie zasady, która nie wyklucza oczywiście, że w pewnych warunkach może być wskazanem pozostawienie pewnej ilości małych i średnich przedsiębiorstw indywidualnych. Skonkretyzowanie jednak tych odchyleń od zasady jest właściwie niemożliwe, tutaj decyduje tylko kalkulacja rachunkowa przeprowadzona pod kątem interesu społecznego. Również należy dokonać zastrzeżenia, że istnieje granica racjonalnego powiększania przedsiębiorstwa, jednakże granica ta leży daleko poza tym co zwykło uważać się za średnie przedsiębiorstwo.

Zastrzeżenia powyższe w niczym jednak nie osłabiają samej zasady, która mówi, że możliwość wykorzystywania postępu technicznego dla zaspakajania potrzeb całego społeczeństwa przede wszystkim przez umasowienie produkcji i obniżanie kosztów produkcji, powstaje dopiero w ramach wielkich przedsiębiorstw. W ten sposób osiąga się maksymalny wzrost dochodu narodowego w skali globalnej i na głowę ludności. Małe i średnie przedsiębiorstwa mogą zabezpieczać tylko interesy ich właścicieli, natomiast w istniejących warunkach nie odpowiadają interesowi całego społeczeństwa.

Hasło powrotu do „kołowrotka“ tak często niestety świadomie czy nieświadomie propagowane przez katolickich pisarzy społecznych, jest dowodem jakiegoś zupełnego oderwania się od rzeczywistości względnie nieznajomości już dziś całkowicie wyraźnych procesów rozwojowych. A przecież właśnie takie stanowisko jest nie do przyjęcia z katolickiego punktu widzenia. Na to Bóg dał człowiekowi dobra materialne, na to stworzył te olbrzymie siły przyrody, aby człowiek istota rozumna w całej pełni je wykorzystywał dla dobra własnego i społeczeństwa. Przypowieść o talentach jest wyraźnym tego potwierdzeniem.

ad 2) Ale i ci również, którzy wysuwają ową szlachetną koncepcję obdarowania każdego fabryką czy fabryczką zaczynają spostrzegać, że proces powstawania wielkich przedsiębiorstw przybiera na sile. Wysuwają dlatego obok upowszechnienia własności drugą koncepcję, jakoby pomocniczą w stosunku do pierwszej, polegającą na tworzeniu spółek robotniczych obejmujących wielkie przedsiębiorstwa. Zadanie tych spółek ma polegać na neutralizowaniu społecznych konsekwencji powstawania wielkich przedsiębiorstw. Myśl szlachetna, ale jakże nierealna. Jest rzeczą obojętną czy spółka będzie mieć formę spółki akcyjnej (tzw. akcjonariat pracy) czy inną formę. Natomiast istotnym jest jakie uprawnienia mogą posiadać robotnicy jako właściciele. Przede wszystkim wyłania się pytanie czy będą mieli prawo sprzedaży udziałów czy nie. W pierwszym przypadku nie ma wątpliwości, że po pewnym czasie udziały znajdą się poza klasą robotniczą, a więc wytworzy się status quo ante. W drugim przypadku tytuł własności pozostanie tylko tytułem. Ale na tym nie koniec. Czyż robotnicy np. huty X mogą jako jej właściciele decydować o rodzaju produkcji, cenach, rozmiarach inwestycji itp. Sądze, że przy założeniu planowości w gospodarce, której zwolennikami są również korporacjoniści, decyzje tego rodzaju mogą należeć tylko do ośrodka centralnego, który przy ich podejmowaniu kierować się będzie nie interesem danej grupy robotników właścicieli, lecz interesem całej klasy robotniczej, całej gospodarki narodowej. A zatem w tym zakresie własność robotników byłaby również fikcyjną. W końcu pozostaje jeszcze jedno uprawnienie właściciela: udział w zyskach, prawo do dywidendy. Ale i na tym odcinku korzyści robotników - właścicieli są wątpliwe. Cóż bowiem uczynią ci, którzy są właścicielami fabryki deficytowej albo dlaczego jednym przypadnie w udziale fabryka więcej a innym mniej rentowna. W gospodarce planowej, w kraju, który uprzemysławia się (np. w Polsce) z reguły będą tanie dobra inwestycyjne, a drogie dobra konsumcyjne. W rezultacie znaczne zyski będą gromadzić się w przedsiębiorstwach produkujących dobra konsumcyjne, a małe zyski względnie nawet straty wystąpią w produkcji dóbr inwestycyjnych. Cóż za dysproporcja powstałaby np. pomiędzy robotnikami huty, a robotnikami fabryk spirytusu konsumcyjnego. Oto złudne dobrodziejstwa uwłaszczenia robotników. Myśl wynagradzania robotników stosownie do osiąganych przez przedsiębiorstwo wyników jest słuszna, lecz do jej realizacji całkiem nie jest potrzebne obdarowywanie ich prawem własności na środkach wytwórczych, które w rzeczywistości stają się fikcją. Gospodarka socjalistyczna problem ten rozwiązuje na drodze tzw. premii załogi, a przede wszystkim na drodze premiowania tych, którzy przyczyniają się do obniżania kosztów produkcji. To jest system skuteczny i sprawiedliwy.

ad 3) W zasadzie każdy ustrój w którym środki wytwórcze są przedmiotem własności prywatnej jest ustrojem kapitalistycznym. Sformułowanie to odpowiada nie tylko postulatowi czystości pojęciowej, lecz również jest zgodne z rzeczywistością, ponieważ mimo pewnych różnic w nazwie ustroju czy nawet organizacji życia gospodarczego w ustrojach opartych o prywatną własność środków wytwórczych, występują z mniejszym lub większym nasileniem te same zjawiska.

W ustroju korporacyjnym klasa robotnicza i klasa kapitalistów zorganizowane we własne zrzeszenia mają jednoczyć się w imię wspólnego interesu. Patrząc jednak trzeźwo na rzeczywistość trudno liczyć, aby na tej drodze nastąpiła likwidacja czy przynajmniej osłabienie walk klasowych. Przeciwnie, jest bardzo prawdopodobnym, że wobec całkowitego zorganizowania obu klas starcia między nimi mogą być znacznie silniejsze aniżeli dotychczas, kiedy występują różne niejednokrotnie konkurujące między sobą grupy. A już chyba całkowitym nieporozumieniem jest mniemanie, że interes branżowy może likwidować czy łagodzić antagonizmy klaso-

(Dokończenie na str. 3 ej)

Jan Józef Szczepański

DROGA

(opowieść romantyczna)

Droga, która w dzień jest tylko płytką, zapyloną grzędą między puszystym masywem parku, a krzykliwym niechlujstwem folwarcznego obejścia, w nocy staje się znów drogą, przychodzącą z daleka i idącą daleko, przecinającą obojętnie ludzkie osady i przewianą na wskroś tchnieniem przestrzeni rozwartej jak nocne niebo.

Dopiero w bladym połysku gwiazd i wąziutkiego nowiu można odnaleźć ów przejmujący chłodem dreszcz milczącego dążenia, niepowstrzymanego pochodu, nad którym żadna wola nie ma władzy.

Opadając wzdłuż napół rozwalonego, parkowego muru, trakt spływa szeroko w dół, w gęsty cień drzew wielkich, jak gmachy i w chłód leżącej nisko przy ziemi mgły. Słychać tu zawsze stłumione bulgoty i czasem płaskie klaśnięcia myjącej płytki bród rzeki.

Najwyższy punkt wzniesienia, to miejsce, gdzie mur rozstępuje się szeroką przerwą bramy, zawsze otwartej w ciemną głąb parku. Dwa omszałe słupy dźwigają na sobie kamienne amfory, pełne zwisającego z nich chwastu.

Naprzeciw bramy, po drugiej stronie gościńca mroczy się niewyraźnym kształtem niska budowla. Tchnie od niej ostra woń gnoju i jakby ciepły cień życia. Jest to dawna stajnia cugowa, w której stoją teraz wybrakowane fornalki i ogrodowe kuce.

Ale droga nie zatrzymuje się tutaj. Opięta szpalerem wysokich, sztywnych grabów, pełznie jakiś czas skrycie w ich mroku, a potem wymyka się bladym szlakiem w ogromną rozległość pól, gdzie strach już śledzić jej bieg. Nocą jeżdżą tędy tylko ci, dla których świat jest za mały.

Nieraz trudno rozpoznać ich przyjście. W sennym chlupocie wody coś zabełta żywiej, zamąci, parsknie cicho. Potem wszystko milknie pod drzewami i tylko pies podwórzowy, uciekający hyłkiem z podwiniętym ogonem, wie skurczem przerażonego serca, że oni już są blisko.

Nagle, tuż — tuż tępym potknięciem stuka o kamień podkowa, albo łamliwym brzękiem wstrząśnie się łańcuszek munsztuka. Słychać skrzypienie siodeł i strudzony oddech drżących chrap. Niepostrzeżenie oddzielają się od czerni cienia, występują z chłodu mgły. Czasem trzech, czasem dwóch tylko. W długich płaszczach i szerokoskrzydłych kapeluszach, wyprostowani, wpatrzeni przed siebie ponad ostrouchymi łbami swych wierzchowców. Lubią popasać na szczycie wzgórza. Zatrzymują się wtedy, sfruwają na ziemię ze twych kulbak, jak ciężkie, ogromne ptaki, a jeden idzie otworzyć wrota stajni. Odsuwa skrzypiącą kłodę, wraca do towarzyszy i po chwili wszyscy wprowadzają do wnętrza czarne konie o połyskujących matowo zadach. Fornalki i kuce budzą się wówczas, chrapią i przytupują niespokojnie. Słychać w środku stuk odrzucanej pokrywy z obrokowej skrzyni, ciężkie stąpania po przemiękłej od nawozu słomie i wreszcie tęskny, aksamitny prześmiech zgłodniałych zwierząt, którym sypią ziarno w żłoby.

Rano fornale pokazują sobie ze zgrozą ślady, zaglądają do skrzyni i żegnając się przechodzą koło pustych stanowisk.

***

Każda pora ma swój obrządek. Wczesną wiosną w czasie lęgu i cierpkiej wymytej rosą pogody stary książę wstaje o świcie i nasyciwszy się kurzem swych ksiąg, chłodem swych kruchych porcelan i mocnym aromatem najlepszej kawy, wychodzi po śniadaniu w ogród. W dłoni trzyma wtedy grubą, leszczynową laskę o wytartej, jak kość słoniowa rączce, a łysiejącą czaszkę przykrywa spłowiałą krymką, nasuniętą nisko na gniewnie zjeżone brwi. Stąpa ciężko i powoli. Za nim, w bezpiecznej odległości paru kroków utyka chudy Błażej o twarzy żółtej i przebiegłej, o krzywych ramionach, zgarbionych nieustannie, jakby w niezręcznym półukłonie. Pochodu dopełnia zwykle któryś z folwarcznych chłopaków, uganiający dookoła, jak pijany ruchem młody psiak. Tym razem jest to rudy Michałek, piegowaty Michałek skotaka.

Ekspedycja brnie naprzód wytrwale poprzez chłodne i drgające gęstwiny niebieskawych cieni, poprzez mielizny przezroczystego blasku, poprzez ciepłe ławice oleistych i żywicznych woni. Dopiero w alei ponad szkarpą, gdzie dołem rozciągają się płytkie i jasne grządki „ogrodu panny", książę przystaje i podnosi głowę, aby wzrokiem takim, jakim mierzy się przeciwnika powitać ogromny wiąz o splątanej koronie. Ostrożnie stuka laską w jego korę, złuszczoną jak skóra bardzo starego zwierza. — Tu — mówi. — N[illegible] znaczyłem kredą.

Jak gdyby Michałek był członkiem innego plemienia, z którym porozumiewać się trzeba przez tłumacza, Błażej powtarza mu książęce słowa. Nim jednak zdołał skończyć zdanie, chłopak opuszcza ziemię, pnie się z wysiłkiem w górę, szeleści w liściach, trzaska drobnymi gałązkami. Po chwili widać już tylko jego gołe pięty. Stary książę nie patrzy za nim. Oparty na lasce czeka i nasłuchuje w złym skupieniu. Nagle korona drzewa ożywa dzikim trzepotem, przeszytym radosnym okrzykiem triumfu. Teraz dopiero obrzmiała twarz starca podnosi się ku górze, rozpromieniona okrutnym uśmiechem. Błękitne strzępy nieba, cieniste sklepienia gałęzi napełniają się ostrą siekaniną czarnych trzepotów, chrapliwą wrzawą zrozpaczonych kawek. I oto wydłużonymi łukami zaczynają upadać małe, seledynowe pociski. Książę ożywia się. Z nieoczekiwaną zwinnością podbiega to tu, to tam, mruczy coś niezrozumiale i wściekłymi ciosami laski miażdży na proch wątłe skorupki rozbitych jajek. Kiedy wreszcie kończy się ładunek pierwszej dziupli, prostuje z ulgą grzbiet, wyciąga z kieszeni surdut wymięty notes i pod długą kolumną cyfr dopisuje z powagą nową pozycję. Michałek łowczym piskiem obwieszcza już następną zdobycz. Słychać jak niecierpliwie chrobocze po korze. Zanim dotrze do celu, Błażej zbliża się do swego pana z miną poufałą. Rzuca szybkie, umykające spojrzenia na boki, aby zagłuszyć wrzask kawek mówi: — Dziś w nocy znowu byli proszę jaśnie księcia.

Ociężała postać zastyga w bezruchu. Powieki pokrywają wypukłość bladych oczu, potem podnoszą się zwolna.

— Ilu? — pyta stary człowiek po długiej chwili milczenia.

— Trzech, proszę jaśnie księcia.

Skrzek ptactwa wzmaga się nowym wybuchem i grad jajek znowu zaczyna bić o ziemię. Ale książę odwraca się nagle, chowa notes. Z opuszczoną głową, zwisającymi bezwładnie ramionami, wlokąc za sobą laskę po żwierze alei, idzie w stronę pałacu. Błażej postępuje za nim pełen usłużności i niepokoju. Przed samym podjazdem zdobywa się wreszcie na odwagę. — Możeby zaprzeć stajnię drągiem — proponuje niepewnie.

Książę, z jedną nogą na stopniach ganku przystaje i długo przygląda się swemu słudze z wyrazem głębokiej pogardy. — Głupiś. — A gdy głowa Błażeja wtula się w ramiona jak pod ciosem, dodaje jeszcze świszcząco, prawie szeptem: — ani mi się waż. Wolno przemierza kilka szerokich stopni i raz jeszcze odwraca się do stojącego wciąż na podjeździe sługi. Waży coś w myśli, potem pyta z dziwnym błyskiem nadziei w zmęczonych oczach:

— Błażeju, czy wiesz dokąd prowadzi ta droga?

Błaże[illegible] mruga zdumiony. — Wiem, [illegible]ę jaśnie księcia. Do szosy.

Ksi[illegible] trząsa niecierpliwie głow[illegible] w dzień — mówi, — ale w[illegible]

C[illegible]ze chwilę, potem wzr[illegible]nami i znika w ciemny[illegible]drzwi.

[illegible] księcia jest szero[illegible]elewa się przez [illegible] usypiającego parku, skłócony czasem pustym okrzykiem sowy lub metalicznym echem żabiej pogwarki, odzywającej się na łąkach za rzeką. Napęczniałe grubą ciemnością konary dębów przepuszczają do środka wątły blask niedojrzałego księżyca, który nierównymi strzępami ślizga się po podłodze i sprzętach, dławiony bezlitośnie żółtym światłem naftowej lampy.

Stary człowiek odłożył skrzypiące pióro i zamknął leżącą przed nim na stoliku wielką księgę. Ruchem skąpca zgarnia na piersi fałdy kwiecistego chałata, wstrząsając się, jakby przeniknął go dotkliwy chłód. Zamyka oczy i sękatą dłoń przesuwa po czole gestem ogromnego znużenia. Potem zapada bezwładnie w głąb fotela, wyciąga przed siebie chude nogi, obute w miękkie, znoszone pantofle. Sroga twarz wygładza się powoli ciszą łagodnego uśmiechu. Zamknął oczy ale nie śpi. Słucha pilnie, słucha ze skupioną, pełną wyrozumiałej tkliwości uwagą. Głosy drzew, ptaków i rzeki nie docierają do jego świadomości. Słucha starczych stękań i rzężeń pogrążonego w zatęchłym śnie domu. Wszystko rozumie. Oto zmurszałą szczęką szuflady chrupnął wielki stół w kredensie. Oto empirowa kanapa przeciąga obolałe stawy. Wysoko, pod rozległym dachem próchniejąca krokwia zadrżała newralgicznym dreszczem. Z wystygłych jaskiń pustych sal i pokojów, pełzną ku niemu tajemnicze westchnienia, najpoufniejsze skargi, pozdrowienia zobojętniałej przyjaźni i pomruki wystygłej nienawiści.

Z opuszczonych wnętrz wymyka się na placach lunatyczna, wieloraka dusza pałacu. Pokoje suną milczącym pochodem swych rozmaitych przestrzeni, podchodzą coraz bliżej, przypominają uparcie swoje sekrety, swoją treść, zakrzepłą w skończone już, niezmienne formy.

Książę nasłuchuje uważnie. Czasami uśmiech jego przygasa, po wypukłym czole falą drobnych zmarszczek przebiega cień niepokoju. Czy nie zapomniał czego? Ale nie. Rozpogadza się znowu. Podnosi powieki i wzrokiem, w którym zadowolenie i gorycz stapiają się w jeden łagodny błysk, gładzi stos ciężkich tomów, piętrzących się u stóp niezapalonego kominka. Jest wszystko: „Katalog ksiąg" i „Katalog zbiorów porcelany", „Spis trofeów myśliwskich" i „Wykaz mebli"; „Rejestr sztychów i obrazów" oraz w dwóch bliźniaczych tomikach spisy przyjaciół i wrogów; wreszcie ogromny, w skórę oprawny „Bilans wydarzeń zwykłych" i obok, cieniutki i niepozorny „Bilans wydarzeń niezwykłych". Ten najbardziej niepokoi, bo mimo swej szczupłości jest wciąż jeszcze, jak za luźny kaftan, robiony na wyrost. Kiedy przyszło podkreślić czerwonym atramentem jego konto, okazało się, że pozostaje w nim bardzo dużo białych kart. Stary człowiek nie odczuwa jednak bólu. Jego smutek ma słodycz leniwej melancholii. Czerwona kreska, biegnąca przez tyle stronic, przez tyle tęsknot, umiłowań i gniewów oddzieliła go już od wszelkiej boleści. Jest jak rzemieślnik po robocie, który cieszy się bardziej z odpoczynku niż z dzieła.

Senne majaczenia domu są już teraz jak wspomnienie długiego nad miarę dzieciństwa. Nagle odzywa się coś, co nie jest głosem żadnego sprzętu. Na górze, wzdłuż szerokiego korytarza, coraz bliżej schodów. Skrzypnął stopień — jeden, drugi, leciutko; w dół wyśliganej poręczy spływa powiewny szelest. Książę prostuje się w fotelu; strząsa z czoła i powiek pył rozmarzenia, unosi oburącz leżącą przed nim księgę i chowa pod stolikiem. Jest to „Rejestr spraw, które się nie stały" — największy.

Oto cichutkie skrobanie w drzwi, jakby kot dopraszał się wpuszczenia.

— Wiejdź Klaro — mówi książę, nie odwracając głowy.

Stanęła w cieniu, gdzie nie dociera już blask lampy, ani śliska poświata księżyca. Tylko jedno pasmo jasnych włosów majaczy w mroku puszystą smugą.

— Tak długo nie śpisz dziadku — mówi. — Może czego potrzebujesz?

Głowa starca potakuje pionowym skinieniem.

— Owszem Klaro. Pocałuj mnie.

Panna podchodzi nieśmiało na palcach. Jest biała, smukła, o dziecięco poważnych oczach. Nachyla się nad siedzącym nieruchomo mężczyzną i delikatnie całuje go w czoło.

— Późno już dziadku — mówi, — a ty wciąż liczysz i piszesz.

— Nie będę więcej liczył Klaro.

— To dobrze. Liczenie bardzo cię męczy.

Wargi księcia wyginają się nieznacznie w powściągliwym uśmiechu.

— Bardzo Klaro. Nie wiesz nawet, jak ogromnie męczące są cyfry.

Patrzy na nią badawczo i nieufnie, jakby zapragnął nagle zrozumienia, którego nie wolno mu wymagać. Potem wzrusza lekko ramionami i opuszcza głowę. — Nie możesz tego wiedzieć — mówi. — Ty jeszcze nie masz czego liczyć. Cebulki kwiatów; oczka szala, jeden — dwa flirty... zresztą, choćby nawet. Póki to rośnie, póki nie widać kresu, nie czuje się wagi. Dopiero sumy są ciężkie. Ogromnie ciężkie. Podkreślenie ich wymaga wysiłku, na który brak niemal odwagi. Posłuchaj Klaro... — bez uśmiechu spogląda w rozszerzone zdumieniem i strachem źrenice panny. — Posłuchaj: Trzydzieści tysięcy ksiąg, siedemset osiemdziesiąt okazów najpiękniejszej porcelany, trzysta czterdzieści dziewięć rozstań... i jedno w zupełnie innej rubryce. Tak. Tyle, tyle pozycji. Osiemnaście tysięcy i trzydzieści sześć kawczych jaj, sześćdziesiąt siedem bezcennych obrazów, Klaro, czujesz wagę tych cyfr? Straszliwy ciężar? Czy rozumiesz, jak bardzo tęsknić można do cyfr, które nie krzepną w sumy? Szy wiesz, jak trudno zdjąć z ramion swoje dojrzałe brzemię?

Klara cofa się o krok i mruga długimi rzęsami.

— Ciążą ci twoje zbiory? — pyta. — Sprzedaj je dziadku, albo daj komu...

Starzec potrząsa głową i wsparty na poręczach fotela wychyla się ku pannie. — Idź spać Klaro. Na nic twoje rady. Sprzedać... Cyfry zamieniać na cyfry. — Darować... — Śmieje się stłumionym, suchym śmiechem, śledząc cofającą się w cień postać. — Jakże darować? Tego nie można darować.

Drzwi zamykają się z cichym westchnieniem.

— Tylko uciec można — mruczy książę.

W osobnym boksie, zajmującej róg dawnej stajni cugowej stoi stary ogier Furioso. Kary, z białą strzałką na czole, był ongiś chlubą wielu słynnych torów. Fraszką były dla niego najcięższe biegi, a grzmiący rytm jego galopu splatał się na finiszu z huraganem szalonych okrzyków i braw. Te czasy triumfów minęły już dawno. Sierść Furiosa, wypalona na zadzie w piękną szachownicę straciła swą gładkość i połysk, kolana przednich nóg ugięły się pokornie, foremne kiedyś kopyta wykrzywiły się do środka. Już od lat grzbiet jego nie zaznał siodła, a stare kły wędzidła. Tylko nabiegłe krwią oko zachowało dawną gniewność, zaprawioną teraz starczą goryczą. Żując drobno zmielony obrok, ogier wydaje się rozpamiętywać całymi dniami nędzę swego upadku. Nocami leży na boku, z łbem wyciągniętym sztywno pod żłobem i stęka boleśnie w pełnym niewygody odurzeniu.

Tylko czasem zrywa się nagle, potrząsa grzywą, a z jego szerokiej piersi dobywa się tęskny, chrapliwy pomruk. To wtedy, gdy w przyległych do boksu pustych stanowiskach poczuje dymiącą potem, rozdrganą szczęściem dalekich biegów obecność wielkich, czarnych koni.

Cała stajnia napełnia się wówczas chłodem ogromnych przestrzeni, melodią niepohamowanych cwałów, oszałamiającym zapachem gwiazd i soczystych od rosy pastwisk. Ale to zdarza się rzadko. Furioso depcze niespokojnie, bije bokami i zadem o zbutwiałe deski przegrody, a nad ranem sierść jego pyska jest zlepiona i matowa od łez.

Tej nocy stary ogier usłyszał znów skrzypnięcie ciężkiej bramy. Uniósł czujnie łeb z podściółki i zastrzygł uszami. — Nie. To tylko człowiek. Słyszy ciężkie, skradające się kroki. Przystanęły u haka, na którym wisi zeschłe od zapom-

Józef Ryszard Łoniowski

Perspektywy katolicyzmu w nowych Indiach

Niedawno ukazał się w „Dziś i Jutrze" (nr 184) artykuł sprawozdawczy z „Etudes" o katolicyzmie w Indiach. Ze względu na wielkie znaczenie tego blisko 400--milionego narodu nie tylko dla chrześcijaństwa, lecz i dla całego świata warto zastanowić się dokładniej, nad stanowiskiem i perspektywami katolicyzmu w nowych azjatyckich republikach.

Protestancki „ewengelista" (świecki pomocnik misyjny), Stanley Jones, zatytułował swój odczyt, który miał wygłosić w jednym z miast indyjskich: „Niepodległość — a co potem?" Czytający ogłoszenie o odczycie Hindus miał się tak wyrazić: „Niepodległość— i co potem?" Oczywiście chrześcijaństwo. Potem przyjdzie sposobny dla was czas, bo nie będziecie już obciążeni łącznością z zachodnim imperializmem. Będzie wolne pole dla waszej działalności".

Hindus ów miał niewątpliwie dużo racji, ale perspektywy chrześcijaństwa w ogóle, a katolicyzmu w szczególności na półwyspie indyjskim tak znowu wyraźne nie są.

Trudności Chrystianizacji Indii są bardzo poważne, znane od dawna i choć jedno wyżej wspomniane podejrzenie o solidaryzowanie się z polityką kolonialną Anglii, zniknęło, pozostały inne, z którymi jeszcze cięższa będzie przeprawa. Tkwią one w samej religii hinduskiej, w jej zasadach i pojęciach zakorzenionych głęboko w duszach mieszkańców Indii, nawet tych, którzy z ścisłą prawowiernością nie wiele mają wspólnego.

Do takich pojęć należy między innymi swoisty fatalizm hinduski, który należy odróżnić od mahometańskiego, a z którym łączy się także pewnego rodzaju bierność, czego przykładem są różni „sandhu" i wyznawcy jogi, trawiący czas na nieruchomej i bezmyślnej (o to czasem chodzi) kontemplacji, regulujący oraz zwalniający swój oddech i puls. Bo też nadprzyrodzony cel życia jest zupełnie inny, niż u chrześcijan i stąd trudności wzajemnego zrozumienia. U hinduistów nie chodzi o zbawienie duszy, lecz o wyzwolenie się z łańcucha reinkarnacji, zerwanie raz na zawsze z prześladującym człowieka życiem, istnieniem w szeregu coraz to nowych wcieleń—chodzi o rozpłynięcie się, dość nieokreślone, w naczelnej zasadzie bytu, utrata własnej osobowości przez stopienie się w jedno z „duszą wszechświata"; jeszcze silniej ujawnia się to w buddyzmie, a u nas znane jest z trącących myszką, różnych młodopolskich „hymnów do Nirwany".

Że ktoś urodził się hinduistą, zadecydowało jakieś „święte i wieczne prawo" — po co myśleć o odmianie?...

Z owym fatalizmem wiąże się głęboko zakorzeniony tradycjonalizm hinduski i konserwatyzm, który nie pozwala na odstąpienie nie tylko od pewnych treści, ale — i to przede wszystkim — od form pogańskich, jakich przykładem jest skostniały i zacofany system kastowy. Do niedawna znosili go bez najmniejszego oporu nawet ci, którzy z jego powodu cierpią. Dopiero w ostatnich czasach najbardziej pokrzywdzeni, tzw. z angielska „untouchables" — niedotykalni, u Gandhiego „haridżanie", szukają wyjścia z poniżającego położenia, przechodząc m. in. masowo na chrześcijaństwo.

W nader dziwny sposób łączy się z owym tradycjonalizmem i przepojeniem całego życia społecznego przez pierwiastek religijny, daleko idący synkretyzm. Hinduizm nie jest religią walczącą, a raczej walczy... swą biernością, wchłaniając w siebie i to skutecznie, różnorodne wierzenia. W hinduizmie na wszystko jest miejsce: na monoteizm, na politeizm, a nawet ateizm, byle człowiek zachował formy przepisane przez tradycję. Ponieważ zaś hinduizm — twierdzą jego zwolennicy — jako religia najlepiej przystosowana do charakteru mieszkańców Indii, jest zarazem ich religią narodową, zmiana wyznania uważana jest nie tylko za niedorzeczność, ale i za zdradę ojczyzny.

Wyznawcą takiego daleko idącego synkretyzmu był Gandhi — postać, która długo jeszcze będzie dominować nad życiem duchowym Indii — stąd jego niechętny stosunek do misjonarzy chrześcijańskich i ich gorliwości ewangelizacyjnej, mimo, iż sam się zachwycał Chrystusowym „kazaniem na górze". Swoje poglądy na sprawy religijne wyraził on w artykułach drukowanych w „Young India" i „Harijan".

„Po długich rozważaniach i doświadczeniach — pisze Gandhi — doszedłem do następujących wniosków:

1) Wszystkie religie są prawdziwe. 2) Wszystkie religie mają domieszkę błędów, 3) wszystkie religie są tak samo mi bliskie, jak moja własna religia hinduska... Dlatego myśl o przejściu z jednej do drugiej jest właściwie niemożliwością. Nasza modlitwa za bliźnich nie powinna brzmieć: Boże daj im światło, które mnie dałeś, — lecz: Daj im wszystkim światło i wszelką prawdę, której do swego (podkreślenie moje) — najwyższego rozwoju potrzebuję. Wierzę, iż Biblia, Koran, i Zend — Awesta są tak samo natchnione przez Boga jak Wedy".

Jest to, stwierdza Gandhi, w duchu hinduizmu: „Hinduska filozofia widzi we wszystkich religiach elementy prawdy i prowadzi do stanowiska respektu i szacunku wobec nich wszystkich". — „Zawsze będą istnieć różne religie, które odpowiadają różnym temperamentom i różnym warunkom klimatycznym". A więc czysty pozytywizm. „Hinduizm nie jest religią ekskluzywną. Jest w nim miejsce na cześć dla wszystkich proroków świata, i nie jest on żadną misjonującą religią w zwykłym znaczeniu tego słowa... Nie wierzę, by mogło zaistnieć coś takiego jak nawrócenie — z jednej religii na drugą. To jest osobistą sprawa między człowiekiem, a jego Bogiem". Nawrócenie według Gandhiego może się dokonać tylko wewnątrz każdego systemu religijnego przez głębsze ujęcie własnej religii.

Przy całej otwartości Gandhiego i życzliwości dla chrześcijaństwa (nie misjonarzy) jego stanowisko wobec problemu religijnego i, co zakrawa na ironię jego tolerancja, która jest tolerancją hinduistyczną, staje się jedną z najcięższych przeszkód i trudności misyjnych. Nie płynie ona bowiem tylko z głębokiego przekonania o potrzebie uszanowania przekonań bliźniego: ale z obojętności graniczącej z lekceważeniem.

Gdy stają wobec siebie przeciwnicy, przychodzi wcześniej, czy później do rozstrzygnięcia, ale gdzie wszelkie próby przekonywania rozbijają się o płynny relatywizm, tam trudno o przyjęcie Prawdy, która wymaga bezwzględnego uznania.

Toteż przypuszczenie, że Gandhi byłby się może nawrócił sam na chrystianizm, gdyby nie zgorszenie, jakie dawali niedoskonali wyznawcy Chrystusa w Europie, wydaje się mało prawdopodobne. Gandhi był zbyt rozumnym człowiekiem, by nie umieć rozróżnić doskonałości nauki Chrystusa od nieudolnego, albo wręcz skrzywionego „wprowadzania w czyn" przez ułomnych, jeśli nie pierwotnych ludzi.

Ciekawy dowód synkretyzmu hinduskiego stanowi kolportowany w Indiach, a reprodukowany w holenderskich „Katolicke Mission" obrazek przedstawiający Gandhiego, rozczytanego w świętej księdze na tle nakładających się na siebie sylwetek Chrystusa Ukrzyżowanego i zatopionego w kontemplacji Buddy.

Do najpoważniejszych trudności, z którymi walczyć musi katolicyzm w Indiach należy brak misjonarzy. Lepiej przedstawia się sprawa na południe linii Goa — Madras, gdzie istnieją stare skupiska chrześcijan, wywodzące się od św. Tomasza Apostoła i św. Franciszka Ksawerego (w samym Trawankorze i Koczinie, żyje dwa miliony katolików, dwie piąte ogólnej liczby).

Gorzej jest na północy i w środkowych Indiach. Spotykamy i tam kwitnące misje, jak wspomniana w „Dziś i Jutro" Chóta Nagpur, ale też znajdziemy na tych terenach, które należą do najgęściej zaludnionych na świecie, obszary, gdzie na jednego misjonarza wypada 400 lub 800 tysięcy, a nawet milion dusz.

Toteż i wyniki pracy misyjnej nie są imponujące, jakkolwiek możliwości na razie są wielkie. Podczas, gdy w ciągu dziesięciu lat prezbiterianie zyskali w samym Pendżabie 100 tysięcy haridżanów, a anglikanie w diecezji Hajderabad tyleż samo, jeden z misjonarzy katolickich skarży się: „Poganie zwracają się masowo do Kościoła. Gdybyśmy byli liczniejsi nawrócilibyśmy ich dziesiątki tysięcy, ale... Udzielamy nauki katechizmu 5.005 osob[illegible], a pragnienia innych 12.582 nie[illegible]emy zaspokoić". („Pro Apostolis [illegible] 199).

To, że nawrócenia, [illegible]masowe miejscami, rekrutują się [illegible] wyłącznie spośród kast upoś[illegible] i ludów pierwotnych, jak [illegible]nda, Santalowie i inni (80 [illegible]ceń), a nietknięta zostaje k[illegible]w i inne wyższe i wpływo[illegible] do objawów pocieszający[illegible]

Może też i metod[illegible] np. zbyt skrupulatn[illegible] łach prozelityzmu; [illegible] ponoszą chyba sami chrześcijanie indyjscy oraz indyjscy księża, którzy nieraz są doskonałymi proboszczami, a ducha misjonarskiego za grosz nie mają, co widać leży niejako w naturze mieszkańców Indii (zbyt szeroko pojęta, a wyżej wspomniana tolerancja), bo i protestanci z tą misyjną obojętnością swoich współwyznawców muszą walczyć.

Do tego wszystkiego dochodziła bardziej zewnętrzna przeszkoda: szykany miejscowych władz. Odznaczali się w utrudnianiu pracy misjonarskiej, zwłaszcza władcy dziedzicznych, feudalnych księstw i księstewek indyjskich. W diecezji Ranczi znajdowało się 12 takich na wpół niezależnych państewek. W trzech z nich m. in. w Udaipur ogłoszono tzw. „Conversion Art" — ustawę o nawróceniach, która nakazywała przed przejściem na chrystianizm wniesienie podania do władz o zezwolenie na zmianę religii, a przecież w Udaipur, co dziesiąty człowiek był już katolikiem (13.500 na 118 tys. mieszkańców).

Gdy w r. 1935 nastąpiło grupowe nawrócenie w Udaipur, wypędzono stamtąd wszystkich katechistów, a że misjonarza w ogóle nie było, katechumeni musieli się przekradać na brytyjskie terytorium, co znów spotykało się z represjami policji udaipurskiej. Nowonawróconych bito, terroryzowano, konfiskowano mienie. A jednak dziesiątki i setki prześladowanych przekradły się przez granicę na miesięczne przeszkolenie.

W Jashpur, mimo, że katolicy stanowili jedną czwartą ludności (27 tys.), nie mogli stawiać kaplic, ani szkół, na modlitwę i naukę zbierali się pod gołym niebiem lub w opuszczonych ruderach i stajniach. Wszechwładny angielski „Political Department" z Delhi nie troszczył się o to: wolał zyskiwać sobie względy radżów i nizanów.

***

Niezależności obu dominiów, Indii i Pakistanu, powitano z radością, choć podział kraju zmącił entuzjazm u wszystkich poza chyba Jinnahem i Ligą Muzułmańską, głównymi promatorami owego rozwiązania sporów. Zmąciły ją także krwawe masakry w Pendżabie wywołane przez Sikhów, nawiasem mówiąc najbardziej przez podział (dla nich rozbiór) pokrzywdzonych, a następnie znany exodus milionów hindusów z Pakistanu, a muzułmanów z dominium Indii. Co do ilości muzułmanów zamordowanych w czasie zamieszek, zdania dotąd są podzielone: od oficjalnej cyfry hinduskiej 15 tysięcy dochodzi się do liczby stu tysięcy podanej przez ministra spraw zagranicznych Pakistanu, a przyjmowanej przez naczelnika Sikhów, Matu Tara Singh'a, który zresztą „odwzajemnia się" twierdzeniem o 200 tysiącach ofiar w Pakistanie.

Że krzyż, zawieszony na piersiach bronił chrześcijan w czasie zamieszek od napaści — rzadki to wypadek w dziejach misyj. Jednak i oni ucierpieli wraz z całą ludnością. Za to w Kaszmierze padło wielu chrześcijan oraz sze reg misjonarzy. Towarzystwo Misyjne z Mill Hill musiało ewakuować stamtąd dwie jedyne stacje misyjne.

Stworzenie niezależnej republiki Indii uwolniło chrześcijan od szykan indyjskich książąt. 560 dotychczasowych istniejących państewek zredukowało się do 25 parlamentarnych księstw, które wraz z dziewięciu prowincjami dawnej brytyjskiej kolonii tworzyć będą coś w rodzaju Stanów Zjednoczonych Indii.

Według projektu konstytucji Indii do kompetencji rządów poszczególnych „stanów" należeć będą sprawy wychowania, wymiaru sprawiedliwości, policji, ustawodawstwo socjalne itp.; ustawodawcy miejscowi muszą jednak przestrzegać pewnych konstytucyjnych zasad, odnoszących się do fundamentalnych praw człowieka i obywatela, praw mniejszości, zasad polityki społecznej etc.

Toteż postanowienie konstytucji indyjskiej, dotyczące spraw religijnych zasługuje na szczególną uwagę. W programie Kongresu Indyjskiego tkwi myśl stworzenia państwa świeckiego „Sekular state" w pojęciu amerykańskim, nie uznającego religii państwowej, ani „panującej", a przyznającego obywatelom zupełną swobodę wyznaniową. Konstytucja zastrzega, że „państwo nie powinno wprowadzać żadnych różnic w traktowaniu poszczególnych obywateli ze względu jedynie na ich religię, rasę, kastę lub płeć".

Art. 13 powiada wyraźnie: „Wszystkim obywatelom przysługuje jednakowo wolność sumienia oraz prawo swobodnego wyznawania, praktykowania i propagowania swojej religii w granicach porządku, obyczajności i zdrowia publicznego".

Wpisanie w tekst konstytucji postanowienia o swobodzie propagowania religii jest zasługą chrześcijan, członków konstytuanty. Niektórzy z nich chcieli jeszcze konstytucyjnego zagwarantowania swobody nawracania małoletnich, podczas gdy w przedłożonym zgromadzeniu projekcie był passus ogłaszający nawrócenie spowodowane przymusem lub wpływem (!) za sprzeciwiające się prawu. Ostatecznie na skutek interwencji Sandar Vallabhai Patel'a usunięto z konstytucji wszelkie wzmianki o legalności, czy nielegalności nawróceń. W wypadku przyjęcia tekstu pierwotnego istniałoby zawsze niebezpieczeństwo interpretowania owej klauzuli na niekorzyść chrześcijan.

Nadmienić toż należy, że delegat Indii w O.N.Z. głosował przeciw poprawce zgłoszonej przez Arabię i popieranej przez większość państw mahometańskich łącznie z Pakistanem, a proponującej skreślenie w art. 16 „Deklaracji praw człowieka", dotyczącym prawa do wolności religijnej słów: „prawo to mieści w sobie także swobodę zmiany religii".

Dalsze artykuły konstytucji indyjskiej dotyczą szczegółowych uprawnień zrzeszeń religijnych. Art. 18 nr 3 (a) stwierdza: Wszystkie mniejszości bez względu na różnice religii, rasy czy języka mają swobodę tworzenia i utrzymywania według własnego uznania instytutów wychowawczych". A dalej (b): „Państwo nie powinno przy rozdziale subsydiów upośledzać szkół prowadzonych przez mniejszości bez względu na ich religię, system moralności, czy język". Jest tylko zastrzeżenie, że nikt nie może być w takich subsydiowanych szkołach zmuszany do obecności na nauce religii, wolno natomiast udzielić nauki tej dzieciom poza planem lekcyjnym.

Jak widzimy, postanowienia konstytucji nie wprowadzają nowych ograniczeń pracy misyjnej, owszem, znoszą niektóre utrudnienia stosowane dotąd w pewnych prowincjach. Oczywiście dużo zależeć będzie od sposobu wprowadzania tych postanowień w życie.

Mimo swej tolerancji religijnej hinduiści panicznie obawiają się masowych nawróceń. Wspomniany już S. V. Patel, jeden z najwybitniejszych członków Kongresu powiedział w wywiadzie udzielonym S. Jonesowi o misjonarzach co następuje: „Mogą dalej pracować jak dotąd, mogą pomagać w szpitalach, ubogich wspierać i wychowywać, ludziom bezinteresownie pomagać. Mogą nawet swoją propagandę religijną uprawiać — ale nie powinni powodować masowych nawróceń dla celów politycznych". Zgoda, ale jak te „cele polityczne" rozumieć?

Do wzrostu podejrzliwości i niechęci do misjonarzy przyczynił się fakt, że rozbudzone uzyskaniem niepodległości poczucie swej wartości na terenie politycznym przeniosło się na grunt religijny. Zwycięstwo polityczne odniesione i to bez walki zbrojnej nad potężną Anglią uważa się za zwycięstwo hinduizmu, dowód jego żywotności; wzmogło się przywiązanie do tradycji i pojęć religijnych, nic dziwnego, że silniejszy atak na pozycje tej religii odczuwa się czasem jako pewnego rodzaju obrazę uczuć narodowych (tu tajemnica owych „celów politycznych").

Zresztą trudno obecnie mówić o jednolitym stanowisku ludzi rządzących Indiami wobec chrześcijaństwa. Partia Kongresu po osiągnięciu celu niepodległości kraju — coraz bardziej się różnicuje (Bull. de Missions, str. 139 i n.). Przywódca kongresu, Pandit Javaharlal Nehru, umie rozróżnić cele religijne od kulturalnych i politycznych. „Przeszłość Indii — mówił — różnorodnością i wielkością swej kultury jest wspólnym dziedzictwem całego ludu indyjskiego: czy to będą hindusi, czy mahometanie, czy chrześcijanie. Ich przodkowie pracowali nad tworzeniem owej kultury, a fakt późniejszego nawrócenia nie pozbawia nikogo uczestnictwa w jej dziedziczeniu".

Nie tak jednak myślą masy tkwiące jeszcze w antychrześcijańskich nastrojach pogłębianych przez zniesioną już obecnie angielską ordynację wyborczą według wyznań, oraz przez odłączenie Pakistanu ze względów przede wszystkim religijnych. Nie tak też myślą pewne odłamy Kongresu, które chętnie widziałyby w Indiach państwo hinduistyczne, odłamy popierane przez konserwatywnych braminów. Należała do nich „Hindu Mahasabha" wroga wszelkim wpływom chrześcijańskim, podobnie jak bojowa organizacja hinduska „Arja Samadź" oraz organizacja paramilitarna „Rashitriya Sewak Sangh" (R.S.S.S.), czyli „Unia Ochotnicza Służby Pokoju" (sic). Okazało się jednak, że R.S.S.S. była wmieszana w krwawe rozruchy po ogłoszeniu niepodległości i że Godse, zabójca Gandhiego był jej członkiem oraz redaktorem organu „Maha-

J. Guziński

SKRZYPKI

Stodółka, a raczej duża rozsypująca się ze starości szopa stała tuż nad brzegiem Narwi. Wystarczyło unieść nieco z siana głowę, aby przez liczne, szerokie między deskami szpary ujrzeć nie tylko szaro - niebieskawą wodę, ale nawet kawał przeciwległego brzegu. Teraz niewiele już było jednak widać. Zimny, wilgocią przesiąknięty mrok, gdzie niegdzie zabielony kłębami mgły podnoszącymi się z okolicznych łąk, strzępił się nad rzeką i jej brzegami. Zdala co jakiś czas dolatywał ostry krzyk żerujących cyranek. Ode wsi dochodził zmieszany rytm kończącego się dnia pracy.

W powietrzu pachniało oborą i krowami nabrzmiałymi mlekiem.

Mietek zagrzebany z głową w ciepłym sianie, leniwie łowił uchem przesiąkające odgłosy, patrząc półprzymkniętymi oczyma jak mrok zwolna zaciera kontury najeżonego krokwiami dachu.

Skrzypnęły cicho uchylone wrota i do stodółki wśliznął się młody, krępy mężczyzna. Podszedł do sąsieku z sianem rzucając cicho.

— Miet[illegible]

Jerzy w[illegible] — [illegible]eriknęło [illegible] Mietkowi przez m[illegible], lecz nie ruszył [illegible] z miejsca.

— Hej! Miet[illegible] doszło nieco głośniejsze wołanie od [illegible]owie[illegible]ka.

Siano zakołyśliwo[illegible] nagle i Mietek unosząc się [illegible]mego st[illegible] grzyb z jego wnętrza. [illegible]rzodków

— No zła[illegible]. Sądzę[illegible]arczy tego spania — rzuciły unikać[illegible]rzy — świniak już gotów, [illegible]ych. De m[illegible]ię piorunem do pakowania. [illegible]o powyższy

Mietek prowadzający [illegible] siana zeskoczył n[illegible]chodzę do „mer[illegible] — [illegible] następujący plan [illegible] spytał zaciekawiony podchodząc do Jerzego.

— Nawet niedrogo, osiemset, tylko chłop cholerycznie trząsł portkami — uśmiechnął się Jerzy — pewnie jeszcze wieczorem pójdzie z synem do lasu.

— Po co — zdziwił się Mietek.

— Na poziomki — rzucił poważnie Jerzy.

— Et gadajże po ludzku —

— Widać od razu żeś fuks w tym szlachetnym zawodzie — i nie zmieniając tonu dorzucił — jeśliby nas granicznikі nakryli, chłopa za zabicie świni powiesiliby publicznie dla przykładu. A jeśli w ciągu trzech dni nikt po niego nie przyjdzie, znaczy przeszliśmy szczęśliwie. — Tu Jerzy przychylił się pukając w drewnianą deskę.

— Wiesz — dodał — klasa słonin[illegible]ka, tylko księżyc dziś przed trzecią wschodzi, trzeba się będzie uwijać.

Wyszli z szopy kierując się w stronę chałupy. Zmrok już na dobre ogarnął ziemię. Przed nimi niewyraźnie rysowały się kontury budynków wiejskich. Jerzy czujnie rozglądał się wokoło.

— Acha — rzucił od niechcenia — po południu znowu patrol był we wsi,— strzelali tam do kogoś pod brzeziną.

— No i co? — spojrzał na niego z niepokojem Mietek.

— Ano nic, pewnie uciekł, bo by coś słychać było. Idź teraz do chałupy. Ale! Bym był zapomniał, zgodziłem się tu z jednym chłopakiem, pójdzie z naszym. Dwadzieścia złotych od kilograma i dwa kilo słoniny.

— Dużo nie chce.

— Bo i pewnie więcej nie wart.

— Co to za jeden — spytał Mietek.

— Ot taka zbłąkana owieczka. Pochodzi z żoliborskich baraków. Tu pracował ponoć u jakiegoś znajomego gospodarza, krzywdował sobie więc chce znów do Warszawy wrócić. No więc idź teraz do mieszkania i przypilnuj gospodyni, żeby jaj usmażyła, a ja upakuję z Frankiem pinkle. Nadejdą niedługo Józek ze Stachem, trzeba będzie z niemi wypić. Pomogli mi sporo z tym świniakiem.

— A przypatrz im się dobrze — rzucił odchodząc — to najlepsi fachowcy na całej granicy.

Odszedł znikając w dole wykopanym w ogródku.

Mietek stał jeszcze chwilę spoglądając na niebo. Ciemne mgliste chmury zawisły bez jednej gwiazdy.

— Byleby tylko księżyc prędko nie wylazł — przemknęło mu przez myśl. Od rzeki zaciągało przykrym chłodem. Wzdrygnął się nagle poczuwszy się jakoś nie swojo.

Za godzinę — myślał — powinniśmy wyjść, a co będzie za trzy, cztery godziny — na myśl mu przyszły słyszane opowiadania o metodach jakich używają żandarmi złapawszy przemytnika, aby dowiedzieć się skąd kupował słoninę. Otrząsnął się niecierpliwie i myśląc już o czym innym ruszył do izby.

Gospodyni pokrajała z pół kilograma słoniny na kawałki wielkości dużego palca, podtopiła ją trochę i wbiła do niej trzydzieści jajek. Po chwili całą dymiącą patelnię postawiła na stole.

Siedzieli w izbie w pięciu. Ko[illegible] szczel[illegible]nie zawieszony w oknie zasłaniał dokładnie światło. W mieszkaniu było [illegible]sto i duszno od palonych papierosów. [illegible]od ścianami stały szerokie dwa łóżka [illegible]rzerzucone pierzynami. Między nimi bl[illegible] okna stół. Wokół niego na łóżkach [illegible] ławie rozsiedli się Jerzy, Józek, Sta[illegible] Mietek i Franuś. Ten ostatni szczu[illegible] o wystraszonych oczach chłopak, [illegible]dział zamyślony trochę na ławie, nie [illegible]cąc widać pchać się zbytnio w kom[illegible]te, do której został dopiero co dop[illegible]rzony. Gospodyni, młoda i jędrna wd[illegible]a trącając ich wypiętym stanikiem [illegible]awiła szklanki.

— No panie Józku! — Rzucił wesoło Jerzy wyciągając litrówkę — aby nam w gardłach nie zaschło. Żytniówka zdaje się pierwszy sort. Nalał każdemu po pół szklanki ujmując swoją w rękę.

— Abyśmy — trącili się szklankami.

— Mietek biorąc swoją przypatrywał się z pod oka Józkowi. Niski ten i zbyt kanciasto zbudowany Podlasiak na oko wyglądający już na ponad czterdziestkę, dziwił sprężystością ruchów.

Towarzysz jego znacznie wyższy blondyn, mógł mieć najwyżej około dwudziestu pięciu. Zmrużywszy żółte brwi nad oczyma, zaśmiewał się, waląc się co chwila otwartymi dłońmi po kolanach. Dojrzawszy naraz pełną szklankę w rękach Mietka ryknął na całą izbę.

— A pan miłościwy niby co?! Jak razem idziemy, razem pijemy. Nie fuszerowana, abyśmy!

Bimber był mocny, z żyta, musiał mieć dobrze ponad pięćdziesiąt procent bo Mietek aż świeczki w oczach zobaczył wychylając szklankę.

— Przegryzaj słoniną — podsunął mu patelnię Jerzy.

Napełniono znów szklanki. Mietek z niepokojem spojrzał na zegarek.

— Nic, nic stary nie denerwuj się zaraz wychodzimy, a te trochę alkoholu nigdy nie zaszkodzi, zresztą dodał unosząc palec — lepiej szklankę na kilka dni niż kieliszek codzień. — A teraz panowie komu w drogę temu czas, musimy być na drutach przed trzecią.

Wyszli przed chalupę.

— No to jak co, to spotykamy się koło Postka.

— Dobra jest w zagajniku.

Józek ze Stachem skręcili za węgieł i zniknęli jak duchy.

— Oni zawsze chodzą tylko razem, mają już swoje ścieżki i nie chcą ich pokazywać. — Rzucił cicho Jerzy — zresztą ja też wolę mniejszą grupą, bezpieczniej!

Z piwnicy wyciągali przygotowane pinkle. Podłużne, wypchane plecaki z szerokimi naramiennikami tworzyły dość pokaźną górkę.

— Będzie co nieść — trącił jeden nogą Mietek.

— Tak, ale słonina to — nie gniecie — uśmiechnął się Jerzy.

Franuś wyszedłszy z niemi zakręcił się koło piwnicy i spłynął gdzieś między szopy. Wrócił po chwili niosąc zawinięty w chustę węzełek i ciemne, podłużne pudło.

— Co to takiego? — spytał podejrzliwie Jerzy.

— E, nic... skrzypki.

— Twoje?

— Tak

Poczęto śpiesznie zakładać plecaki, umocowując pasy. Jerzy patrząc na zegarek przyglądał co chwila.

— Guzdrzecie się jak kulawe babki, gotowe? No to wio!

Zeszli nad rzekę i okrążywszy wieś sierpem wyszli na południowe jej pola. Tutaj piętnaście kilometrów od granicy było jeszcze względnie bezpiecznie. Mimo to idąc sznurem raz po raz kucali na polnej drodze uważnie badając okolice

— Widzisz — tłumaczył Mietkowi Jerzy — lekko przykucnięty, bliżej ziemi lepiej możesz się zorientować w polu widzenia, już pomijając fakt, że ciebie wtedy nie widać. Ja kiedyś dwadzieścia minut w redlinie leżałem nie mogąc zdecydować: krzak czy ludzie — tak gałęzie się ułożyły. Pamiętaj pierwsza zasada na granicy: im wolniej tym pewniej.

Szli brzegiem piaszczystej drogi. Po bokach rozciągały się rozkopane kartofliska i płaty ściernisk. Trochę dalej szarzał długi zagajnik, gubiąc się w ciemności na tle lasu.

— To tutaj dziś byli? — wskazał ręką brzezinkę Mietek.

— Tak.

Z tyłu od wsi doszło dalekie ujadanie psa. Obejrzeli się kilkakrotnie przyśpieszając kroku. Linia lasu była coraz bliższa. Naraz Jerzy wypatrując od tyłu trącił lekko Mietka.

— Patrz, tam nad drogą.

Mietek natężył oczy. Daleko podewsią majaczyły niewyraźne sylwetki.

— Albo wóz, albo żandarmi na koniach — szepnął Jerzy — lepiej wiać. Przytrzymując rękoma pinkle, pochyleni nad ziemią zaczęli biec w stronę lasu. Gdzieś od tyłu doleciało ciche parsknięcie konia. Pognali szybciej. Ciężkie dwudziesto paro kilowe plecaki wypierały dech z piersi. Mietek czuł jak wilgotniejąca koszula zwolna oblepia mu plecy. Kilka chwil i przed nimi zaszarzały pierwsze drzewa. Jeszcze kilka metrów a potykając się na wystających korzeniach wpadli między krzaki. Zwolnili teraz kroku wsiąkając w głąb leśną. Miękki, puszysty mech uginał się pod nogami.

W lesie było prawie czarno. Mietek z trudem dostrzegał kołyszący się przed nim pinkiel Jerzego. Ten prowadził szybko nie zastanawiając się ani chwili nad wyborem kierunku. Odgarniane gałęzie raz po raz umykając z rąk chlastały ostrą szczotką igliwia po twarzy. Pasy plecaków coraz boleśniej wpijały się w ramiona. Uszli jeszcze z pół kilometra. Koło małego pagórka nie zdejmując pinkli z ulgą rzucili się na ziemię.

— Pięć minut odpoczynku — zarządził cicho Jerzy, a widząc, że tamci nie odzywają się dodał — to tylko na początek tak ciężko. Potem się rozejdziecie.

— Yhy — mruknął niewyraźnie Mietek.

Wsparci o miękką masę słoniny oddawali się błogiemu wypoczynkowi. Gdzieś z niedaleka dolatywał cierpki zapach jałowca.

— A tam to była chyba jednak fura — rzucił obojętnie Jerzy.

— A mnie się widzi, że to jechali na koniach — odezwał się przecząco Franek.

(Dokończenie na stronie 10)

---

sabhy", wobec tego obie organizacje musiały zawiesić swą działalność.

Różnicowanie się Kongresu zresztą jest jeszcze w toku i nie zawsze można z góry określić ustosunkowanie się nowych partii do chrześcijaństwa. Najpoważniejszym odłamem Kongresu jest partia socjalistyczna i słaba jeszcze liczebnie, ale dobrze zorganizowana, zwłaszcza w większych ośrodkach przemysłowych, partia komunistyczna.

Pośredni wpływ na przyszłość Kościoła w Indiach będzie miało rozwiązanie problemu kastowości, a zwłaszcza zagadnienie „niedotykalności". Konstytucja indyjska znosi pojęcia „niedotykalności" i oświadcza, że wszelkie stwierdzenia o niezdolności do działań prawnych, czy o niższości z racji przynależności do tej warstwy społeczeństwa będą karane jako przestępstwo. „Niedotykalni" stali się pupilami rządu: dzieciom ich zapewnia się stypendia na studia średnie i wyższe, a nawet nakazuje się względność dla nich przy egzaminach.

Życie przyczyniło się również poważnie do złagodzenia różnic kastowych: koleżeństwo broni na wojnie, kontakty robotników w zakładach pracy i w związkach zawodowych, wspólny los i tułaczka podczas zamieszek, gdy nikt o kastę nie pytał, konieczność obsadzania pewnych zawodów wykonywanych przez wypędzonych mahometan, (a kasta związana jest zwykle z zawodem), wreszcie wpływy szkoły działające w pożądanym kierunku bezpośrednio i pośrednio przez koleżeństwo, które prowadzi czasem do międzykastowych małżeństw.

Ze zniesieniem systemu kastowego zniknęłaby jedna z największych przeszkód w pracy misyjnej. Zmniejszyłaby się może liczba nawróceń „niedotykalnych", ale zniknęłaby zazdrość hindusów o nie. Do zupełnego obalenia instytucji kastowości nie prędko jednak dojdzie. Musiałby hinduizm przedtem odrzucić pojęcie wędrówki dusz i przeznaczenia. Koniec końców, czy mieli biskupi katoliccy rację, witając w zbiorowym oświadczeniu z sierpnia 1947 r. niepodległość Indii i przywiązując do niej nadzieję na przyszłość Kościoła w tym kraju. Bez wątpienia tak.

Nie zniknęły jeszcze całkowicie i nie prędko znikną zastarzałe zadrażnienia i uprzedzenia, czego przykładem choćby cofnięcie przez rząd Prowincji Centralnych pod wpływem bojowych hinduistów praw rządowych jednej ze szkół katolickich (premonstratów) w prefekturze apost. Jubulpore, ataki na szkolnictwo katolickie w prow. Bihar lub trudności w prezydencji madraskiej (nic dziwnego: ministrem oświaty jest tam: „guru" z „Arja Samadż").

Z drugiej jednak strony widać już teraz wiele zmian na lepsze. Dowodem niech będą znów Prowincje Centralne, gdzie w lipcu 1947 r. Zgromadzenie ustawodawcze uchwaliło, iż wszystkie nawrócenia muszą być kontrolowane przez władze co do ich „szczerości i dobrowolności", a w rok później, 14 sierpnia 1948, toż samo zgromadzenie jednomyślnie postanowiło anulować poprzednią uchwałę.

Przychylne dla Kościoła wypowiedzi indyjskich mężów stanu, jak pochwała misjonarzy w ustach p. Radjagapalachari, gen. Gubernatora Unii Indyjskiej także przecież coś znaczą; nie mogą być rzucane na wiatr i na masy wpływ wywierają. Do poprzednio przytoczonej wypowiedzi Nehru warto dołączyć jeszcze jedną. Odpowiadając czynnikom, które chciały misjonarzy prowincji Orissa pognębić, z naciskiem oświadczył, że misje chrześcijańskie będą otaczane taką opieką jak każda inna instytucja użyteczności publicznej.

Na szczerość polityki rządu indyjskiego wobec katolicyzmu wskazuje najdobitniej fakt nawiązania stosunków dyplomatycznych ze Stolicą Apostolską. Dotychczasowy delegat apostolski mgr. L. Kierkels przedłożył jako internuncjusz listy uwierzytelniające generalnemu gubernatorowi w dniu 12 sierpnia ubiegłego roku.

Mówiąc o warunkach pracy i perspektywach misyj w Indiach, uwzględniało się przede wszystkim Unię Indyjską z dwu powodów. Po pierwsze w Republice Indyjskiej żyje olbrzymia większość katolików. Ich liczbę w całych Indiach ocenia się na mniej więcej 5.000.000, z czego 4.500.000 przypada na Unię Indyjską, a tylko paręset tysięcy (najmniej 162.000) na Pakistan. Po drugie z Pakistanu skąpiej napływają wiadomości.

Chrześcijanie tamtejsi, to przeważnie robotnicy rolni. Na skutek parcelacji majątków hinduskich obszarników między muzułmańskich uchodźców, chrześcijanie ci znaleźli się bez pracy i w nędzy tak, że w okręgu Montgomery zamierzają emigrować do Republiki Indyjskiej: nawrócenia tam ustały, owszem pogańska ludność przechodzi na islam ze względów utylitarnych. Gdzie indziej np. w okręgu Lyallpur na odwrót, nawrócenia się mnożą, a chrześcijanie stworzyli katolicką Unię Społeczną, by bronić swych interesów wobec rządu.

Jeśli chodzi o stanowisko władz pakistańskich, to dawny przewodniczący kongresu, a obecny minister mahometański Maulana Kalam Azad mówił, podobnie jak w Indiach minister Patel, iż nie ma nic przeciw misjonarzom, byle tylko nie było masowych nawróceń „bez wewnętrznego przekonania".

Więcej nam mówi wypowiedź premiera zachodniego Pendżabu, którym jest Khan Iftikhar Hussain of Mamdot: „Moja partia i ja sam, jesteśmy świadomi tego, że chrześcijanie Pakistanu okazali swą solidarność w krytycznych czasach i pomogli osiągnąć cel naszego państwa. Dlatego nie będziemy zaniedbywać ich uprawnień, owszem, przyznamy im więcej praw, niżby im proporcjonalnie przypadało". W tej sprawie zwracał się, jak twierdzi do prezydenta państwa z prośbą o zapewnienie chrześcijanom należytego przedstawicielstwa w Komisji dla Spraw Mniejszościowych, aby mogli swe zdanie wypowiadać przy opracowywaniu konstytucji. Zakończył swe oświadczenie słowami: „Nasz rząd w dalszym ciągu rozważa kwestię, jak zapewnić chrześcijanom należny im wpływ i przedstawicielstwo w urzędach oraz we wszystkich dziedzinach życia państwowego".

Perspektywy przyszłości chrześcijaństwa na półwyspie Indyjskim nie są jeszcze jasne i nie we wszystkich punktach zbyt obiecujące, ale konkluzja naszych rozważań może być śmiało zdania obecnego internuncjusza wypowiedziane w przededniu niepodległości obu państw: „Na przyszłość misyj katolickich w Indiach można patrzeć z umiarkowanym optymizmem".

Józef Ryszard Łoniowski

Opracował: Kazimierz Wołkowicz

FILM FRANCUSKI

Sprawa filmu francuskiego w czasie okupacji niemieckiej podczas ostatniej wojny była zbyt poważną aby ocena jej mogła być czyniona bądź fragmentarycznie, na podstawie przebiegu tych czy innych procesów o kolaborację, bądź na podstawie subiektywnych ocen poszczególnych osób nawet ze świata artystycznego. Obecnie po upływie pięciu lat, zebrawszy odpowiednią dokumentację historyczną, zanalizowawszy przed i podczas wojenny stan produkcji francuskich, reasumując wreszcie głosy niezależnych artystów i filmowców francuskich moż na sobie stworzyć pewien konkretny zarys faktycznej sytuacji w jakiej znalazł się film francuski w krytycznym okresie 1940—44.

Wypadki i zdarzenia jakie przytoczę poniżej są tak dalece wymowne, że czytelnik na ich podstawie będzie mógł sobie wyrobić sąd własny, zupełnie objektywny.

Film francuski od r. 1938 żył i pracował już pod znakiem wojny.

Zainteresowanie produkcji skupiało się na tematach wojskowych, bohaterskich, szpiegowskich czy politycznych.

W ostatnich miesiącach przedwojennych wyprodukowano więc: „Ultimatum", „Wielką Niewiadomą" (Legia cudzoziemska), „Trzech z Saint-Cyr", „Zakładników" Dokumentarny film p.t. „Sommes — nous — defendus" (Czy jesteśmy bronieni) uzyskał I nagrodę we Francji. Film zaś Jean Osser p.t. „Świat pod bronią" przeciwstawiał pacyfistyczną budowę demokracji potwornym zbrojeniom państw totalistycznych.

Na wystawie światowej w New Yorku wyświetlano „Zagadnienie francuskie" (Jean Painlevé), „Montmartre" René Clair, „Młoda francuska" (Marc Allegret) i wiele innych. Postanowiono zbojkotować faszystowskie Biennale w Wenecji, które zresztą ostatnio stawało się jakimś skandalicznym nieporozumieniem. Jednak mimo, że przygotowania techniczne i finansowe do demokratycznego festivalu w Cannes były ukończone, w ostatniej chwili zmieniono decyzję i zgłoszono udział w Wenecji.

Wybuch wojny zastał produkcję francuską w pełnym rozmachu. Ukończono właśnie: „Niech żyje naród", „Słomiany ogień", „Droga honoru", „Człowiek z Nigerii", „Piekło aniołów", „Niebiańscy muzykanci", „Portowa kawiarnia". Jacques Feyder montował „Prawo północy", Abel Gance — „Utracony raj" i jednocześnie nakręcano: „Znak Boga", „Korsarz", „Pojedynek", „Od Mayerlinga do Serajewa", „Sewastopol". Jean d'Agrave kończył „Francja jest imperium" też Renoir wybierał się do Włoch kręcić „Toskę" z Viviane Romance.

Mobilizacja zahamowała całą produkcję. Personel artystyczny i techniczny został zmobilizowany. Wszystkie kina zamknięto. Jednak zakaz ten nie dotyczył teatrów i dopiero po długich i licznych interwencjach kina zostały częściowo uruchomione.

Cenzura szalała. Byle kacyk prowincjonalny wyżywał się w najidjotyczniejszych ocenach filmu, który wskutek tego nie mógł docierać do publiczności. Zakazano filmów na tematy wojenne, kryminalne — komedie i dramaty żołnierskie. Zakazano: „Na Zachodzie bez zmian" „Czterech piechurów", „Bestię ludzką", „Fraülein Doktór", „Patrol o świcie", „Niziny"; „Mówi żołnierz nieznany" i wiele innych.

Ukazało się jedynie kilka filmów ukończonych tuż przed wojną, a więc „Strzelec od Maxima", „Noc grudniowa", „Święty gaj", (wyświetlany niedawno u nas).

Duvivier rozpoczął nakręcanie filmu okolicznościowego „Rodzina Froment (Un tel pére et fils), Jean Boyer — film z Lilian Harvey „Panienka z trafiki". Anglicy przysłali „Uskrzydlonego lwa" (patriotyczny) a Charles Boyer wyjechał do stanów Zjednoczonych jako ambasador francuskiej propagandy.

Adwokat Henri Torres, mianowany dyrektorem działu filmowego przy Komisariacie informacji oświadcz: „Nie chcemy ani etatyzacji, ani nacjonalizacji filmu; film musi zachować swój wyraz i indywidualność artystyczną". W sprawie zaś propagandy powiedział: „Nie wolno zanudzać ludzi pod pretekstem propagandy. Dobra propaganda powinna odpowiadać walorom artystycznym produkcji filmowej".

Zachęceni tymi wywodami filmowcy podjęli organizację filmu „pod bronią".

Duvivier zrealizował świetny „Wóz Widmo", L'Herbier we Włoszech zrealizował „Komedię szczęścia".

Stosunki filmowe włosko-francuskie były oczywiście wówczas bardzo serdeczne.

Następnie zrealizowano szereg propagandówek, a więc: „Alzacjo, Francja czuwa", „Wilk i jagnię", „Dlaczego jeszcze walczymy?", „Zmartwychwstanie narodów".

Alex. Rydey pod pseudonimem Jean Jacques Valmy, nakręcił „Moje zbrodnie", autor A. Hitler, Antoine Rasini zmontował „Oni i my, czyli 20 lat zawieszenia broni".

Wojskowy Serwis Filmowy wypuścił: „Zwyciężyć", „Front morski"; „France régarde sa mariene".

Kronika filmowa (aktualności) serwisu była jednak ze względu na ostrą cenzurę mało ciekawa. Nie znaczy to bynajmniej, że taki sam był „materiał" dostarczany przez operatorów, gdyż ludzie ci z narażeniem życia, pracując w pierwszych liniach frontów, zebrali kapitalny materiał dokumentarny.

Istniała również Sekcja polska pod kierownictwem Ryszarda Ordyńskiego.

Ciekawym był także montaż dokumentarny p.t. „Od starego żelaziwa do zwycięskiej stali".

Jaka była sytuacja, kiedy nastąpiła ofensywa hitlerowska.

12 czerwca, Italia, która otworzyła swe studia filmowi francuskiemu, maskując swe prawdziwe oblicze neutralnością i nawiązaniem kontaktów z demokracjami Zachodu, nagle wypowiedziała wojnę Francji i Anglii. 14 czerwca Niemcy zajęli Paryż, a 11 lipca Zgromadzenie Narodowe w Vichy udzieliło pełnomocnictwa Pétainowi.

Klęska odbiła się na filmie francuskim. Studia i kina zostały zamknięte, znaczna część Paryżan tułała się na wygnaniu. Władze niemieckie przystąpiły natychmiast do otwarcia kin. Było to oczywiście wobec **faktu zdawien dawna prowadzonej walki z produkcją amerykańską o rynek francuski.**

Pełnomocnik niemieckiego ministerstwa propagandy dr. Dietrich mianował dla każdego działu przemysłu filmowego powierników, którym zlecił organizację grup filmowców według zawodów, a przede wszystkim: właścicieli kin, biur wynajmu, producentów, rzemieślników i techników.

Zarządził „weryfikację" istniejących filmów francuskich i **zorganizował „dubbing"** francuski filmów niemieckich.

1 października było już w paryżu i okolicy czynnych 500 kin, wyświetlających około 400 filmów, których lwią część stanowiła produkcja „UFA" i „TOBIS".

W październiku ukazał się pierwszy numer urzędowego dwutygodnika „Le Film", w którym podano do wiadomości zarządzenia władz wojskowych, dotyczące cenzury, eksploatacji, rozdzielnika filmów. Żaden film nie mógł być pod karą sądu specjalnego — wyświetlany publicznie bez akceptacji szefa strefy okupowanej. Kino mogło być czynne pod warunkiem „uzasadnionej konieczności", pod kierunkiem zaufanego właściwego kierownika. (Żydzi wykluczeni).

Niemiecki „Wochenschaum" wyświelany obowiązkowo przed każdym seansem wywoływał wrogą reakcję ze strony publiczności francuskiej. Ekscesy doprowadziły do obwieszczenia, grożącego zamknięciem wszystkich kin w razie powtarzania się tych „prowokacji". — Dyrekcja policji francuskiej poleciła wyświetlać dodatki w półmroku, jak reklamy.

Kilka filmów francuskich ukończonych w momencie inwazji niemieckiej udało się przemycić na ekrany. Były to: „Żółta koszulka" z Albert Préjean w roli kolarza, „Angelica" z Vivane Romance i „Naszyjnik z konopi".

Z niemieckich ukazały się: „Pocztmistrz", „Trio Codonas", „Bohaterska walka", „Allo Janine!" etc. Wtargnęły oczywiście i filmy włoskie, lecz w bardzo ograniczonej przez Niemców ilości.

Rząd w Vichy zamianował tymczasem p. de Carmony szefem serwisu filmowego przy podsekretariacie Rady Ministrów. 6 grudnia 1940 ogłoszono w Dzienniku urzędowym ustawę o filmie. Ustawa powołała m. in. „Komitet Organizacji Przemysłu Kinematograficznego". Dyrektorem odpowiedzialnym został Raoul Ploquin, b. nadinspektor produkcji francuskiej w UFA. Specjalne podkomisje scalały prace komitetu, Komisarzami mianowano: Debrie, Jean Painlevé, Marcel Pagnol, Marcel Achard. Szef serwisu de Carmony został mianowany komisarzem rządu przy komitecie.

Jednym z pierwszych zarządzeń dyrektora Komitetu (poza kilkoma o charakterze ściśle podatkowo-finansowym) był zakaz wyświetlania wszystkich filmów wyprodukowanych przed 1 października 1937 r.

Poza tym Komitet dawał słabe oznaki życia, zwłaszcza w sprawach, dla których został powołany tzn. zawodowych i arbitrażowych, jak również organizacji przemysłu.

Inercję tę do pewnego stopnia usprawiedliwiają: trudności w dostawach taśmy i chemikalii ograniczenia prądu itp. Ostatecznie komitet został rozwiązany w marcu 1944 r.

Wysokość produkcji filmowej w strefie okupowanej była ściśle uzgadniana z władzami niemieckimi, z tego też powodu kręcono tylko filmy o wysokiej wartości artystycznej, dającej gwarancje finansowe.

Wszystkie filmy francuskie podlegały podwójnej cenzurze: niemieckiej i Vichy. Scenariusze i dialogi były dokładnie kontrolowane przed rozpoczęciem realizacji. Powszechnie uważano, że cenzura Vichy była o wiele ostrzejsza i bardziej lękliwa od niemieckiej. Atmosferę Vichy najlepiej charakteryzuje fakt, że „niemoralne" filmy jak „Ludzie we mgle" czy „Péqé le Moko" uznane były w znacznej części za przyczynę klęski militarnej Francji.

W strefie nieokupowanej, między Niceą a Marsylią próbowano produkować filmy.

Abel Gance nakręcił „Ślepą Wenus" z Viviane Romance a Pagnol — „La fille du puisateur" (Córka studniarza), opatrując ten film chwerze aforyzmem Pétaina.

W Paryżu powstała niemiecka spółka filmowa **p. n. Continental - Film** z kapitałem 1 miliona franków. Continental szybko zaangażował wybitniejszych filmowców francuskich, m. in. **Marcel Carné, Christian - Jacque, Georges Lacombe, Pierre Fresnay i Louis Jouvet.** Ten ostatni zresztą ani razu nie wystąpił.

Niektórzy dopatrywali się w Continentalu placówki propagandy hitlerowskiej i antyfrancuskiej Lecz przeczyły temu nazwiska aktorów jak: Raimu, Fernandel, Harry Baur czy Danielle Darrieux. — niewątpliwie pewne kreatury w Continentalu piastowały skrycie takie rojenia, nie to było jednak ważne — ważnymi były sprawy natury handlowej i przemysłowej.

Wskutek trudności w eksploatacji filmów, kończono filmy rozpoczęte przed klęską czerwcową, m. in. „Piekło aniołów" Christian Jaque, (o opuszczonych dzieciach), „Volpone", „Czarny diament", „Pojedynek i inne.

W tym czasie aktorzy jak Jean Gabin, Michele Morgan, reżyserzy: Jean Renoir, Julien Duvivier, Rene Clair, Jean Benoit Lévy znajdowali się już w Ameryce, gdzie kręcili dla wytwórni miejscowych.

We Francji zorganizowano nowa produkcję: mimo zaborczości Continentalu, mimo szykan władz okupacyjnych, mimo braku taśmy, ograniczeń prądu, ciasnoty atelier — produkcja francuska, skupiwszy około siebie najwartościowszych fachowców „kręciła" i to kręciła filmy niejednokrotnie pierwszorzędne.

Oczywiście wśród tych trudności nie zabrakło i idjotycznej cenzury Vichy, która potrafiła np. zabronić realizacji „Arlezjanki", ponieważ było tam samobójstwo z miłości. W filmie „Fromont junior i Risler senior" skreśliła wszędzie słowo „flic" (policjant w gwarze paryskiej).

O ile producent przedstawił kilka wersji filmu do zatwierdzenia, z zasady akceptowano najpłytszą i najgłupszą. Film francuski wobec tego zajął pozycje obronne. Weszły na warsztat filmy historyczno - kostiumowe. Osłabiły one czujność obu cenzur i dawały gwarancję „kasowości"... — po zwycięstwie

Ze względu jednak na to, że Continental produkował również filmy francuskie — należy je wymienić dla zobrazowania całości produkcji, a więc: „Pierwsze spotkanie" z Danielle Darrieux, „Ostatni z sześciu"— film policyjny Clouzot, zmontowany na wzór amerykański, „Mademoiselle Bonaparte" z Hedwige Feuillère, „Morderstwo Św. Mikołaja", reżyserii Christian - Jacque z Harry Baur, „Anetka" — Dréville, „Grzechy młodości" reż. Valentin, „Symfonia fantastyczna", film o Berliozie, reżyser Christian - Jacque, z Jean-Louis Barrault w roli głównej. Fernandel zrealizował i sam odtworzył „Głuptasa", następnie „Klub zakochanych". Tourneur zrealizował „Diabelską dłoń" i „Piekielną dolinę". Potier „Moja miłość jest przy tobie" z Tino Rossim. Inni, jak: René Fayet „Dwadzieścia pięć lat szczęścia" z Pierre Fresnay i Suzy Delair. Clouzot — „Morderca mieszka pod Nr 2". Ukazał się też znany u nas „Monsieur la Souris" z Raimu i „Domek siedmiu dziewcząt".

W strefie nie okupowanej zrealizowano w końcu r. 1940 „Słomkowy kapelusz", „Niesamowitą noc", „Ślepą Wenus", „Rok 40" „Ludzie bez trwogi".

W paryskich studiach, nie należących do Continentalu, powstały „Madame Sans-Gene" z Arletty (vide „Komedianci"), „Paryski poemacik", „Montmartre-sur-Seine" z Edith Piaf), „Opera Musette" René Lefevre i wreszcie świetny film o chłopcach ulicy, nowego jeszcze nieznanego nikomu reżysera Louis Daquin, pt.: „My, dzieciarnia" („Nous, les gosses").

Wydawać się może dziwnym, że okupanci tolerowali, zwłaszcza przy istnieniu Continentalu, podobną produkcję. Miało to jednak pewne uzasadnienie.

Przede wszystkim chodziło o to, aby okupanci mieli prawo twierdzić, że przemysł francuski współpracuje z Trzecią Rzeszą. Niemcy również doceniali techniczną i handlową wartość roli protektora „wolnej twórczości". Oczywiście dużą też rolę odgrywały stosunki osobiste „powiernika" niemieckiego Alfreda Grevena. Stosunki francusko - włoskie, choć nieco kłopotliwe w sensie artystycznym, również umożliwiały realizację kilku wielkich filmów.

W r. 1942 Raoul Ploquin i E. Galey nakreślili szkic planu pracy dla filmu, który daje się streścić w dwóch zasadniczych punktach:

1. Znieść całkowicie dla celów przemysłu filmowego linię demarkacyjną dwóch stref. 2. Podtrzymywać działalność wytwórni francuskich, które mimo przeliczne trudności podjęły pracę zaraz po zawieszeniu broni (1940).

Wytwórniom tym udzielono odpowiednich licencji produkcyjnych i obliczono, że 43 wytwórnie zrealizują w sezonie 42/43 — 73 nowe filmy, przyczem produkcja „Continentalu" nie była brana pod uwagę.

Mimo szumnych oświadczeń o udziale filmu w „rewolucji narodowej" (Nationalrevolution) o konieczności osiągania wysokiego poziomu artystycznego i wychowawczego, o racjonalnym wykorzystaniu każdego metra taśmy, o roli kultury francuskiej w „Europas Neuordnung", mimo to stwierdzamy, że stosunki i atmosfera raczej się pogorszyły. Licencje na produkcję można było nabyć za pośrednictwem kombinatorów na czarnej giełdzie. Pewne aktorki zdobywały licencje na filmy, w których miały otrzymać główne role — nie zawsze „drogą urzędową". W wytwórniach potworzyły się grupy i kliki nawzajem się zwalczające. Hamowano nawet i tak ograniczoną dostawę kontyngentu taśmy. Brakowało również kredytów.

Ale film francuski w tej dżungli znajdował jednak środki do życia, a nawet rozwoju.

Nawet wówczas, gdy ograniczenia prądu zahamowały całą produkcję, przyszła pomoc w postaci frekwen-

TYDZIEŃ

PAŃSTWOWA OPERA I FILHARMONIA W WARSZAWIE

Zbliżający się sezon koncertowy rozpocznie dotychczasowa Filharmonia Stołeczna z Działem Operowym, już jako Państwowa Opera i Filharmonia w Warszawie. Nowa dyrekcja w osobach: Zdzisława Górzyńskiego, Mieczysława Mierzejewskiego i Tadeusza Laskowskiego, planuje szeroką rozbudowę przedsiębiorstwa.

Ambicją Dyrekcji jest utworzenie czołowego w skali krajowej zespołu operowego. Pozyskano współpracę wybitnych artystów perowych, m.in.: Ewy Bandrowskiej-Turskiej, Antoniny Kaweckiej, Donis - Słoniewskiej, Stanisława Roya i in. Z dotychczasowego zespołu Opery, usłyszymy w nowym sezonie: Halinę Mickiewiczównę, Joannę Krasińską, Krystynę Brenoczy, Halinę Stecką, Bolesława Jankowskiego, Jerzego Granowskiego, Michała Szopskiego i in. Ponadto zaangażowano wiele młodych sił artystycznych.

Przewidziane jest wystawienie następujących oper: „Goblany" Żeleńskiego, „Cyganerii" Pucciniego, „Carmen" Bizeta i „Opowieści Hoffmana" Offenbacha i „Halki" Moniuszki.

Do reżyserowania poszczególnych oper zaproszeni będą: Karol Borowski, Józef Wyszomirski, Aleksander Zelwerowicz, Leon Schiller, Janusz Warnecki i inni. Scenografia powierzona zostanie: Władysławowi Daszewskiemu, Zygmuntowi Szpingerowi, Teresie Roszkowskiej, prof. Axerowi i inn. Stałymi kapelmistrzami Opery będą: dyr. Górzyński i Tadeusz Mazurkiewicz.

Ważną inowację stanowi utworzenie przy Operze 50-osobowego zespołu baletowego pod kierownictwem Stanisława Miszczyka. Zespół ten, który w przyszłości stanie się zalążkiem reprezentacyjnego baletu polskiego, wystawiać będzie oddzielnie widowiska baletowe, jak również brać będzie udział w przedstawieniach operowych. Na czele zespołu baletowego stoją primabaleriny: Stanisława Selmówna, Stanisława Stanisławska, Olga Glinkówna i Sabina Szatkowska oraz pierwszy tancerz Witold Borkowski. Spośród solistów wymienić należy: K. Marynowską, H. Maculewicz, I. Ładowską, Małeckiego, Cywińskiego, Lewandowskiego i in.

Przewidziane jest wystawienie 3-aktowego baletu „Pan Twardowski" Ludomiła Różyckiego oraz 3 baletów 1-aktowych, w tej liczbie „Drewnianego Księcia" Boli Bartoka i pojednym nieustalonym jeszcze balecie polskim i radzieckim. Orkiestra Filharmonii została rozszerzona do 97 osób. Stałymi dyrygentami będą Mieczysław Mierzejewski i Tadeusz Wilczak. Program koncertów jest w opracowywaniu.

Równolegle z rozszerzeniem zespołu Opery i Filharmonii, prowadzona jest przebudowa i rozbudowa urządzeń technicznych. Buduje się wielki skład dekoracji, stolarnię i malarnię, powiększane są garderoby, przerabiany jest całkowicie system świateł scenicznych. Pomieszczenie orkiestry operowej obniżone zostanie o 1,30 metra, przez co uzyska się właściwe współbrzmienie orkiestry z głosami wokalistów.

Tygodniowy rozkład koncertów w nowym sezonie nie ulegnie zmianie. Przedstawienia operowe i baletowe dawane będą 4 razy w tygodniu. Koncerty symfoniczne odbywać się będą w każdy piątek, poranki symfoniczne w niedzielę.

O WŁAŚCIWE FORMY TEATRU OCHOTNICZEGO

Odbyło się posiedzenie organizacyjne Centralnej Międzyorganizacyjnej Komisji Repertuarowej przy Ministerstwie Kultury i Sztuki, powołanej uchwałą Komitetu Ministrów do Spraw Kultury.

Zadaniem Komisji jest popieranie i nadawanie kierunku nowej twórczości przeznaczonej dla świetlic, klasyfikowanie dotychczasowego repertuaru, planowanie przekładów oraz ocena ideologiczna i artystyczna całokształtu repertuaru ochotniczych zespołów świetlicowych.

W skład Komisji wchodzą przedstawiciele: Ministerstwa Kultury i Sztuki, Ministerstwa Oświaty, Mini-

PODCZAS OKUPACJI

cji publiczności w kinach, będących jedyną wówczas rozrywką dostępną dla wszystkich. Napływ ten usiłowali wykorzystać Niemcy dla lansowania swych „Propfilmów". Wyświetlano więc „W obliczu bolszewizmu" (dokument z frontu wschodniego), „Tajemne moce" (antymasoński), „Pan Brinon jedzie na front wschodni" oraz skierowane przeciw Ruchowi Oporu, jak np.: „Monsieur Girouette", „Résistance", „Jeńcy" (idylla o obozach).

Rząd w Vichy również zrealizował kilka dokumentacji: „Dzień pracy min. Lavala", „Jedna kartka historii" (podróż Pétaina do Paryża) i film propagujący pożyczkę państwową.

A teraz kilka cyfr:

W r. 1942 zrealizowano 78 filmów,
1943 „ 60 „
1944 (do sierpnia 18 „

Cyfry te są b. charakterystyczne dla oceny temperatury stosunku Niemców do Francji.

W sumie w okresie okupacji powstało ponad 200 nowych filmów! Do najlepszych należy liczyć „Ojciec Goriot" (wg. Balzacá), „Pułkownik Chabert", „Księżna de Langeais". L'Herbier zrealizował „Cyganerię" na tematy Murgera), Vernay „Hrabiego Monte-Christo", Abel Gance — „Kapitan Francasse" z Pierre Fresnay, Delannoy „Garbus" z Pierry Blanchar, Dréville „Interes przede wszystkim" (Mirbeau).

Sfilmowano wiele dzieł literatury, jak np.: „Słońce północy" (Benoit), „Andorra" (Isaelle Sandy), „Gospoda w Albinus (André Chausson), „Monsieur de Lourdines"—Chateaubriand'a itd. Liczne filmy propagowały populację i powrót do natury. Do tych należały: „Białe skrzydła", „Błękitna zasłona", „Prawo wiosny", „Schody bez końca", „Rozdroże zagubionych dzieci".

Roland Tual nakręcił oryginalne i awangardowe „Łoże z kolumnami" i komedię radiową „Dobry wieczór państwu".

Brak surowców do budowy dekoracji zmusił producentów do poszukiwania nowych środków. I tak naprz. posługiwano się małymi makietami, które w odpowiedniej skali powiększano zdjęciowo. Abel Gance i dekorator Henri Mahe wynaleźli sposób stosowania małych zdjęć 18 x 24, przy pomocy odpowiednich ustawień aparatu, jako pełnowartościowych dekoracji. Wynalazek ten umożliwił realizację filmów, których akcja miała się toczyć w najbardziej oddalonych zakątkach świata.

Bardzo ciekawym eksperymentem artystycznym był film „Blondine". czarodziejska bajka, w której po raz pierwszy zastosowano dekoracje rysunkowe, które dzięki swej technice umożliwiały najbardziej fantastyczne i nieprawdopodobne sytuacje w kraju baśniowym. — Zastanówmy się jednak przez chwilę nad pracą wielkich reżyserów. Marcel L'Herbier, stosując szereg niespotykanych dotąd tricków wizualnych i dźwiękowych, zrealizował „Niesamowitą noc". Film ten jednak, mimo swych wysokich walorów artystycznych nie znalazł uznania w biurach eksploatacji. — Drugim był „Czcigodna Katarzyna („The honourable Catharine"), zrobiona w stylu Capry czy Carney'a z Edwige Feuillere. Komedia ta zdobyła sobie wstępnym bojem publiczność, dzięki tempu i nerwowi farsowemu.

Claude Autant-Lara, zaangażował świetną Odette Joyeux do „Małżeństwa Chiffon" („Le mariage de Chiffon") i „Listów miłosnych".

Christian-Jacque — początkujący jeszcze wówczas realizator zrobił „Beznadziejną podróż" (nowa wersja „Miłostki o północy"), w r. 1942 nakręcił on z Viviane Romance w Italii „Carmen". W r. 1944 rozpoczął realizację „Czarów".

Jean Grémillon w r. 1943 wg. scenariusza Préverta i Laroche, nakręcił „Letnie światła" — romans sentymentalny, napoły filozoficzny o tle społecznym. Główną rolę objął Pierre Brasseur.

W r. 1944 powstał (znany u nas) film „Niebo jest dla was", poświęcony popularyzacji lotnictwa.

Film „Wieczorni goście" (Les visiteurs du soir) Marcela Carné, był niewątpliwie największym ewenementem artystycznym w czasie okupacji.

T[illegible]t Prévert i Laroche'a przedstaw[illegible]arné w formie średniowiecznej [illegible]dy miłosnej, odsuwając się cał[illegible] od naturalizmu swych „Lu dz[illegible]gle" i „O świcie" (Le jour s[illegible] Niemniej przy całkowicie f[illegible]o - poetyckim rozpracowa- [illegible]omniał swego specyficzne- [illegible] stylu. Dzięki temu po- [illegible] sztuki, w którym suro- [illegible]h czasów splatała się z [illegible]ezją średniowiecza. Cie- [illegible]ą w tym filmie jest [illegible]ch całkowicie ludzkich, [illegible]zdradzają jedynie ge- [illegible] diabelskie Rolę tę objął [illegible]erry. Film „Les visiteurs du soir", mimo złośliwych krytyk wszedł do historii filmu jako jedno z największych arcydzieł.

Wreszcie w r. 1942 — 43 powstał klasyczny pod każdym względem film Carné — „Les enfants du paradis"— Komedianci. O walorach tego filmu nie ma potrzeby się rozpisywać, gdyż znany u nas, był analizowany i opisywany wszechstronnie.

W r. 1941 powrócił z niewoli Jacques Becker, b. asystent Jean Renoir. W r 1939 Becker zrealizował „L'or de Cristobal". Dobry ten film został dosłownie zmasakrowany przez cenzurę „handlarzy". W r. 1942 Becker kręci kolejno, już samodzielnie. periodystyczno - kryminalny „Ostatni atut", a następnie „Skarb rodziny Goupi" (Goupi mains-rouges) i „Ludzie i manekiny" (Les Falbalas).

W owych czasach zjawiły się w filmie dwa wielkie nazwiska poezji i dramaturgii: Cocteau i Giraudoux. Cocteau, po nieudanym debiucie filmowym w r 1948. pt.: „Krew poety" (Le sang d'un poete), dopiero po pięt nastu latach powrócił do filmu i krótkiej współpracy z Serge de Poligny przy filmie (Baron—fantome), w którym nb. wystąpił jako aktor, napisał scenariusz pt.: „Odwieczny powrót" („L'Elernelle retour"). będący nowoczesną transpozycją „Tristana i Izoldy". Film ten został zrealizowany przez Jean Delannoy (twórcy Pontcarral — r. 1942), z aktorkami Jean Marais i Madelaine Sologne. Cocteau zachęcony sukcesem napisał i sam już zrealizował słynny film „La belle et la bete" z Josette Day i Jean Marais.

Drugi film pt.: „Aniołowie grzechu" („Les anges du péche"), scenariusz **R. Bruckbergera — dominikanina**, mimo bardzo subtelnego zagadnienia życia, pracy i reguły klasztornej oraz specyficznego tła zagadnienia społecznego — dzięki świetnemu i inteligentnemu dialogowi oraz reżyserii Roberta Bresson — stał się artystycznym wydarzeniem dnia.

Ukazało się szereg ustaw i zarządzeń, dotyczących produkcji i eksploatacji. Zacytujemy parę najważniejszych: Ustawa finansowa z r. 1941 obciążała podatkiem przedsiębiorstw utrzymujących orkiestry, czy też artystów estradowych. Została wprowadzona „karta zawodowa" dla wszystkich, od autora począwszy, a kończąc na zamiataczce hali zdjęć. W r. 1943 kina jeden dzień w tygodniu miały być nieczynne. Ustawa zaś z r. 1944 wywołała burzę protestów — określająca producenta jako autora filmu, z wszystkimi przynależnymi temu prawami. Również w r. 1944 (w kwietniu) ukazało się rozporządzenie zakazujące produkcji filmowej wytwórniom nie posiadającym minimum 5 mil. fr. kapitału. Jedynie te wytwórnie, które od r. 1936 produkowały rocznie minimum 4 filmy, miały tę kwotę obniżoną do 1 mil. fr.

Pod koniec 1943 sytuacja przemysłu filmowego we Francji była poważna. Spadek dochodów z kin, podrożenie produkcji. — Dla przykładu wymienimy tylko koszt filmu pełnometrażowego: w r. 41/42 — ok. 5 mil. fr. w r. 42/43 — 7.500 mil., na 44 przewidywane, jeszcze większą zwyżkę. Dochody z filmów spadły w związku z utratą rynków północno - afrykańskich, ewakuacją stref zagrożonych, dyscyplinarnych sankcji okupantów, pozbawiających miasta prowincjonalne kin, dalsze ograniczenia prądu i 18 - procentowy podatek od biletów.

L. Galey starał się skracać czas trwania produkcji i zabiegał o dotacje rządowe, jednak wydarzenia toczyły się niepowstrzymanie. Energia elektryczna stawała się coraz słabsza. Ograniczano seanse do poranków, zamykano coraz więcej kin.

W takiej fatalnej koniunkturze powstał L'I.D.H.E.C. (Instytut Wyższych Studiów Kinematograficznych). Początkiem jego stało się Centrum Art. - Techniczne Młodych Filmowców w Nicei, istniejące już trzy lata. Dyrektorem L'IDHEC został reżyser Marcel L'Herbier i Pierre Gerin. Instytut był podzielony na wydziały: reżyserii (realizacji), produkcji, dekoracji i dźwięku (tytuł inżyniera). Jednocześnie uruchomiono również szkołę aktorów filmowych na bardzo wysokim poziomie.

Gdy w sierpniu 1944 Niemcy rozpoczęli ewakuację Paryża, sekcja filmowa Komitetu Wyzwolenia już pracowała. Z powodu braku światła wszystkie kina były nieczynne. W lokalach „France - Actualités" zainstalował się Komitet pięciu z reż. Swobodą na czele. Wydano zarządzenie przygotowania zapasów taśmy; parę dziesiątków operatorów w pogotowiu czekały rozkazu „wejścia w akcję". Rozkaz ten padł w chwili rozpoczęcia pierwszych walk w Paryżu. Momentalnie nakręcono i zmontowano film „Wyzwolenie Paryża" ze świetnym komentarzem Pierre Blanchar, który go natychmiast zabrał do wyświetlenia w Anglii i Ameryce. Pierwszy tygodnik filmowy ukazał się 8 września Obaj operatorzy niestety polegli — Gaston Madru w Lipsku, Arnaudy — w La Rochelle.

Minister Informacji Teitgen mianował Jean Painlevé Naczelnym Dyrektorem Filmu.

Cenzura wojskowa działała aż do ukończenia działań wojennych. Prawdę powiedziawszy, nie wiele się różniła od swych poprzedniczek. Zabroniono po raz trzeci tych samych filmów, jak „Zbrodnia M. Langa". „Dzień wschodzi", „Ludzie za mgłą", a nawet amerykańskiego filmu o Toscaninim. „jako pro-włoskiego".

Wyświetlano zabronione w czasie okupacji filmy francuskie. Filmy niemieckie, włoskie i japońskie zostały zakazane.

W związku z „czystką kolaboracyjną", niektórzy artyści zostali częściowo zawieszeni, lecz ich filmy dopuszczono do eksploatacji. Produkcję Continentalu objęła Administracja Państwowa.

Filmowy Komitet Wyzwolenia, którego sekretarzem został reżyser Daquin, opracował w porozumieniu z Painlevé 10-punktowy program:

1. Likwidacja Komitetu Organ. Przemysłu Filmowego
2. Stworzenie nowej organizacji.
3. Komisja kart zawodowych.
4. Zakaz umów na „wyłączność autorów i aktorów".
5. Rewizja praw autorskich.
6. Stworzenie biura studiów, laboratorium badawczego, szkoły filmowej oraz filmoteki.
7. Założenie ośrodka produkcji filmów rysunkowych i komicznych.
8. Rozprowadzenie najlepszych filmów na wieś.
9. Metodę premiowania produkcji.
10. Założenie instytucji propagandy specjalnej.

Program ten był wyrazem dotychczasowych dążeń wszystkich filmowców, jednak wysuwały się jeszcze nie mniej palące zagadnienia: wysokość podatków od biletów, zabierających, wg. oświadczeń właścicieli kin, połowę dochodu brutto, brak taśmy i zwiększenie kosztów produkcji jednego filmu pełnometrażowego z 6.500 tys. fr. w 42 r. na 15 milj. w 1945.

Mimo tych trudności produkcja rozwijała się nadal. Zrealizowano „Przyjaciel przyjdzie wieczorem", „Niebieski batalion", „Sąd Ostateczny", „Niech żyje wolność", „Synowie Francji", „Poufna misja", „Jerycho" etc.

Po wyzwoleniu wytwórnie zostały zalane dosłownie scenariuszami na tematy Ruchu Oporu. Doszło do tego, że specjalnie zwołana komisja wojskowa musiała zająć się oceną tych scenariuszy. Efekt był druzgocący: na 200 scenariuszy zaledwie 13 uzyskało pewne szanse realizacji.

A taśmy należało pilnie strzec. Mimo to, producenci nie grzeszący nadmiarem wyobraźni, nakręcili „Kapitana" (Zevaco) po raz trzeci „Cyrano de Bergenac", nową wersję „Króla włóczęgów".

Wykonano cały szereg filmów oficjalnych jak „Bitwa o szyny", „Granica wolności", „Krzyż lotaryński we Włoszech", „Z Tunisu do Rzymu".

Godnym uwagi jest fakt, że czołowi reżyserzy, jak Autant - Lara, Carné, Becker, Grémillon, Delannoy, Daquin, nie zostali nawet zaproszeni do współpracy przy wyzwolonym filmie francuskim. Nic dziwnego, okazuje się, że dyletancka hochsztapleria ma sposoby na unieszkodliwienie prawdziwych talentów artystycznych umiejętności. W pojęciu tych ludzi nie ma większej zbrodni, niż uczciwa robota.

Jean Painlevé miał konkretny program, lecz nie posiadał możliwości materialnych do jego realizacji. W maju 1945 na stanowisku naczelnego dyrektora filmu zastąpił go p Fourré Cormoray, prefek departamentu Marne et Loire i audytor Izby Rozrachunkowej. Znalazły się środki, których zabrakło dla realizatora „Morskiego konika". Crédit National podwyższył dotację dla przemysłu filmowego ze 100 do 200 milj. fr. Zreorganizował cenzurę, wprowadzając do niej przedstawicieli filmu, oraz stworzył urząd do zawodowych spraw filmowych, wreszcie uderzył w najtrudniejszy problem: poparcia dla filmu francuskiego. Julien Duvivier w związku z tym oświadczył: „Jeżeli dopuścimy do inwazji filmu amerykańskiego na zasadzie innej, niż zasada równej wymiany i poparcia naszej produkcji, produkcja francuska przestanie istnieć".

Oczywiście handlarze amerykańscy nie chcieli zgodzić się ani na regularny import francuskich filmów, ani na ograniczenie swych własnych kontyngentów w Europie.

Czwarta część ateliers stała bezczynnie, jedne z powodu przestarzałej konstrukcji, inne z powodu braku nowoczesnego sprzętu. Skutkiem tego przedłużył się również czas produkcji i koszty każdego filmu, i tak: w r. 1938 film realizowano 5 miesięcy, w r. 1946 — dziesięć. Koszt produkcji w 1938 — 2,5 milj. fr., ten sam film w 46 — 25 milj. fr.

Filmy historyczne czy też monumentalne kosztowały ponad 60—70 milj. fr. Umowa waszyngtońska Blum-Byrnes w 28.V.46. otworzyła bez ograniczeń kina francuskie dla filmowców amerykańskich, natomiast według obliczeń na podstawie tej umowy kina we Francji mogły wyświetlać rocznie zaledwie 48 premier, przy możliwości produkcji nawet 140 filmów rocznie! Bez komentarzy! Filmowcy do dziś dnia walczą o zerwanie tego układu.

Z Ameryki powrócili René Clair, Duvivier i Chenal.

Wojna filmu francuskiego z okupantem skończyła się. Pokój jednak mimo to nie zapanował. Zamiast Filmowego Komitetu Wyzwolenia powstał Komitet Obrony Filmu Francuskiego.

Walka postępowego filmu francuskiego trwa. Zmieniły się osoby wrogów. Metody pozostały równie bezwzględne.

Kapitał amerykański wydał wyrok śmierci na swych wszystkich konkurentów. W tej walce film francuski nie jest osamotniony.

Towarzyszy mu poparcie całego postępowego świata walczącego z hegemonią pieniądza o lepsze jutro ludzkości.

Kończąc podkreślam raz jeszcze, że cytując fakty czy dokumenty na podstawie źródeł historycznych trzymałem się świadomie od osobistych komentarzy, które swym ewentualnym subjektywizmem mogłyby zaciemnić wymowę pewnych zjawisk czy metod a tym samym utrudnić analizę tego okresu tak bardzo symptomatycznego niestety i dla dzisiejszej rzeczywistości sztuki francuskiej.

Opracował
Kazimierz Wołkowicz

Opracowanie na podstawie: Les cents visages du Cinema — Marcel Lapierre Cinematographie francaise Le Film France Soir. Le cinema français

KULTURALNY

sterstwa Obrony Narodowej, C.R.Z.Z. Związku Samopomocy Chłopskiej, Związku Młodzieży Polskiej „Służby Polsce" oraz Komisji Głównej do Spraw Kultury.

Na podstawie stale prowadzonych badań nad potrzebami ochotniczych zespołów świetlicowych Komisja dokonuje zamówień u wybitnych literatów, kompozytorów i plastyków.

Dla wypracowania nowych form scenicznych w ruchu świetlicowym, powstanie w najbliższym czasie w Warszawie Centralny Świetlicowy Teatr — Studio. Placówka ta stanie się głównym warsztatem pracy Centralnej Międzyorganizacyjnej Komisji Repertuarowej. Tu przeprowadzane będą próbne inscenizacje nowych materiałów repertuarowych, jak również wypracowane zostają instrukcje i wskazówki dla zespołów świetlicowych w terenie.

Jednocześnie scena Teatr-Studio udostępniona będzie najlepszym ochotniczym zespołom artystycznym, co umożliwi kontrolę osiągnięć amatorskiego ruchu artystycznego, a jednocześnie umożliwi teatrom zawodowym zapoznanie się z nowatorskim dorobkiem teatru ochotniczego.

OBJAZDOWY TEATR DRAMATYCZNY

Ministerstwo Obrony Narodowej oraz Ministerstwo Kultury i Sztuki powołały do życia „Objazdowy Teatr Dramatyczy Domu Wojska Polskiego". Na czele zespołowego kierownictwa teatru stoi dyrektor Emil Chaberski.

Stałą siedzibą nowoutworzonego teatru będzie Dom Wojska Polskiego w Warszawie (dawny Teatr Narodowy), który jest również siedzibą Narodowego Teatru im. Wojska Polskiego oraz Zespołu Artystycznego Domu Wojska Polskiego. Teatr rozpoczyna swą działalność z dniem 1 września b.r.

MUZEUM KASPROWICZA W SZYMBORZU

W Szymborzu odbyło się uroczyste otwarcie Izby Kasprowiczowskiej — muzeum pamiątek po wielkim po[illegible] kujawskim. Muzeum mieści się w jednej z izb rodzinnego domu Jana Kasprowicza.

Izba Kasprowiczowska została urządzona w regionalnym stylu kujawskim. Zgromadzono tu dzieła Kasprowicza, listy, fotografie i liczne cenne pamiątki związane z osobą poety.

Otwarcia Izby Kasprowiczowskiej dokonał prezydent miasta Inowrocławia ob. Michalak, po czym prof. Uniwersytetu Warszawskiego dr Stanisław Helsztyński wygłosił referat na temat twórczości Kasprowicza — poety — chłopa, wyrosłego z ludu i tworzącego dla ludu.

W imieniu rodziny Jana Kasprowicza złożył przyrzeczenie opiekowania się izbą ob. Antczak.

NOWY ZARZĄD OKRĘGU WARSZAWSKIEGO ZWIĄZKU ZAWODOWEGO PRACOWNIKÓW SZTUKI I KULTURY

Na pierwszej konferencji okręgu warszawskiego Związku Zawodowego Pracowników Sztuki i Kultury, w dniu 31 bm. dokonano wyboru nowych władz związkowych okręgu.

W skład nowego zarządu okręgu warszawskiego ZZPSiK weszli: jako przewodniczący — Marian Meller (dyr. adm. Państw. Teatru Narodowego w Warszawie), I-y wiceprzewodniczący — Teodor Liese (muzyk), II-gi wiceprzewodniczący — Lucjan Niedziałek (prac. Polskiego Radia), I-y sekretarz — Leon Adamczyk (malarz teatralny), II-gi sekretarz — Jerzy Biernacki (prac. biurowy), skarbnik — Aleksander Piotrowski (aktor), członkowie prezydium: Aleksander Daniczewski (muzyk), Janina Romanówna (aktorka), Franciszek Jutkiewicz (prac. Polskiego Radia) oraz członkowie zarządu: Henryk Rygier (prac. techniczny), Julian Pietraszkiewicz (prac. Polskiego Radia), Ludmiła Bogusławska (prac. Filmu Polskiego), Jan Bratkowski (prac. Filmu Polskiego), Nikodem Stępniewski (prac. techniczny), Stanisław Rawski (prac. techniczny), Józef Wróblewski (muzyk) oraz Mieczysław Winkler (aktor).

Paweł Jasienica

Wepchnięci w wojnę

Losy Węgier podczas ostatniej wojny są w Polsce słabo znane. Sądzę nawet, że trzeba i o tym przypomnieć, iż jeszcze kilka lat temu kraj ten był — jeśli chodzi o ustrój polityczny — królestwem bez króla, a rządził nim jako Regent Mikołaj Horthy, admirał morza i floty.

Rząd Węgierski od samego początku uprawiał w stosunku do Niemiec politykę najdalej posuniętego oportunizmu. Za cenę podporządkowania się ciągle rosnącym żądaniom Hitlera spodziewano się uniknąć klęski ostatecznej wplątania w wojnę albo niemieckiej okupacji. Zaraz zobaczymy czy się te zamysły udały. Na razie jednak wspomnijmy jeszcze o jednym. Oto istniała rzecz, która niezmiernie ułatwiała ów kolaboracjonizm. Myślę tu o tzw. rewizjonizmie, czyli o dążeniu do odzyskania licznych terytoriów, które Węgry na podstawie traktatu w Trianon (4.VI.1920) utraciły. Hasło ponownego zajęcia tych ziem ogromnie ułatwiało robotę elementom pro-hitlerowskim, których wśród węgierskiej prawicy politycznej bynajmniej wtedy nie brakło. W roku 1940 Niemcy przysądziły Węgrom część Siedmiogrodu, należącego dotąd do Rumunii, Budapeszt zaś przystąpił do „paktu trzech".

Sytuacja Węgier stała się szczególnie tragiczna na wiosnę 1941 roku, kiedy to Hitler zdecydował się uderzyć na Jugosławię i zażądał od Budapesztu współdziałania, obiecując wzamian przyłączenie dawnych ziem węgierskich. Premier, Paweł hr. Teleki nie chciał się zgodzić na to żądanie, ale szef sztabu gen. Werth, zdecydowany hitlerofil, nie czekając na decyzję rządu ułożył się z Niemcami o przemarsz ich wojsk. Wtedy też W. Brytania zerwała stosunki dyplomatyczne z Budapesztem. Premier Teleki zareagował na to samobójstwem. Gest ten w niczym rzecz jasna Węgrom nie pomógł. Po Telekim został premierem Władysław Bardossy, człowiek, który miał w historii swego kraju odegrać fatalną rolę i już po wojnie został przez sąd republiki węgierskiej skazany na śmierć.

Poniższa relacja oparta jest na danych zaczerpniętych z książki Antala Ullein-Reviczky'ego „Guerre allemende paix russe"*). Reviczky bynajmniej nie kocha dzisiejszego rządu węgierskiego. Ale i on powiada, że w każdym innym ustroju Bardossy też musiałby zasiąść na ławie oskarżonych.

Bardossy, dawny reprezentant Węgier w Londynie, powołany został na ministra spraw zagranicznych, ponieważ był „białą kartą". W kraju politycznie nie działał, nie posiadał żadnej przeszłości politycznej w stosunku do Niemiec, a więc przez to samo rozporządzał swobodą ruchów. Atut w ciężkim ówczesnym położeniu pożądany.

Na Bardossym zawiedli się wszyscy. Nie znali jego zarozumiałości, żądzy władzy i katastrofalnej, nie wybaczalnej słabości. Po śmierci Telekiego Bardossy został premierem. Uderzyło mu to do głowy, postanowił pokazać co potrafi. Zademonstrował totalną słabość.

W sprawie jugosłowiańskiej Bardossy odczekał, aż Chorwacja ogłosi niepodległość, wskutek czego dawna Jugosławia „przestała istnieć" i dopiero dał rozkaz do odzyskania „tysiącletnich granic". Chciał co prawda przeprowadzać okupację ostrożnie, siłami żandarmierii, ale gen. Werth mało sobie robił z premierem ceremonii i pchnął — cztery korpusy wojska. Oprócz tego oficerowie zaczęli postępować „po wojskowemu" to znaczy w sposób jak najbardziej brutalny. Premier nic — pozwalał sobie jeździć po nosie.

W mowie wygłoszonej przez Hitlera w dniu 22 czerwca 1941 roku — w momencie napadu na Sowiety — nie ma ani słowa o Węgrzech. Führer wspomniał Rumunię i Finlandię, jako sprzymierzeńców, ale o Węgrzech milczał. Bardossy był zachwycony. Naród też. Istniało mocne postanowienie zachowania neutralności. Stosunki dyplomatyczne z Rosją — dawniej zerwane — były już nawiązane. Taki był stan rzeczy, kiedy na zwyczajne żądanie posła niemieckiego w Budapeszcie, Erdmannsdorffa, Bardossy — bez żadnej dyskusji — pośpieszył zerwać z Sowietami stosunki dyplomatyczne. Zaraz też zapewnił swoich współpracowników, iż posunięcie to jest granicą ustępstw wobec Niemiec.

We wtorek, 24 czerwca, szef sztabu, gen. Werth, nadesłał do premiera pismo, w którym żądał wypowiedzenia wojny Sowietom. Pisał, że Niemcy już wojnę właściwie wygrały i że Węgry tracą ostatnią okazję zrealizowania swych politycznych aspiracyj. Bardossy zwołał radę ministrów. Wściekły, walił pięścią w stół, krzyczał, że nie pozwoli szefowi sztabu mieszać się do nie swoich rzeczy. W zarządzonym głosowaniu Bardossy pierwszy opowiedział się przeciwko wojnie. Tak samo głosowali wszyscy ministrowie. Tylko zastępca ministra spraw wojsk. był za wojną, ale i ten tłumaczył się, że działa na wyraźny rozkaz swego szefa.

We czwartek, 26 czerwca, w Budapeszcie zawyły syreny alarmowe. Bomb jednak nie było. Ale w prezydium rady ministrów już leżał przygotowany komunikat, że samoloty rosyjskie zbombardowały Koszyce i że wskutek tej „niesprowokowanej agresji" Węgry uważają, iż między nimi a Rosją istnieje stan wojny.

Ullein-Reviczky, podówczas szef wydziału prasowego min. spr. zagr., wpadł do gabinetu premiera, pytając w jaki to sposób można „w pięć minut" przejść od pokoju do wojny.

— Czy pan ma pewność, że to w Koszycach byli Rosjanie? — pytał.

— Skoro nasz sztab generalny, oczywiście w zgodzie z Niemcami, stwierdził, że to byli Rosjanie i skoro Regent temu wierzy, to jest tak i basta! — brzmiała odpowiedź szefa rządu.

Zaraz potem Bardossy wyjaśnił, że skoro wojskowi, w porozumieniu z Niemcami, postanowili nie cofnąć się przed niczym, by wejść do wojny to nie ma sposobu uniknięcia jej. „Pojąłem to w pięć minut" — powiedział i dorzucił jeszcze, że ewentualność ustąpienia ze stanowiska premiera uważa za niekorzystną dla kraju. (argumentacja premiera jest dostatecznym dowodem, że cała historia z Koszycami była zwykłą prowokacją).

Tak oto zaczęła się wojna, co do której nikt na Węgrzech — oprócz naturalnie pro-hitlerowców — nie wiedział, o co się toczy. Nie było żadnego zapału. Przygnębienie. Ani śladu żądzy walki.

Przyszła jesień 1941 roku. O zwycięstwie Niemiec nic nie było słychać. Węgry zaczęły zabiegać o wycofanie swoich wojsk z frontu. Już się na ulicach Budapesztu pokazały pierwsze wracające pułki i publiczność pocieszyła się trochę, kiedy w piewien chmurny listopadowy poranek — zjawił się u Bardossy'ego Herbert Pell, poseł Stanów Zjednoczonych, reprezentujący też interesy angielskie. Amerykanin zakomunikował, że rząd Wielkiej Brytanii domaga się, by Węgry w przeciągu ośmiu dni przerwały wojnę z Rosją. A jeżeli nie — to wojna z Anglią.

Nie pomogły żadne starania i interwencje. 7.XII. Jankes zjawił się znowu i oświadczył, że bardzo mu nieprzyjemnie, ale Anglia nie uznała wyjaśnień węgierskich za dostateczne, wskutek czego stan wojny między obu państwami liczy się od wczoraj, tj. od 6 grudnia 1941 roku.

Wrażenie na Węgrzech było ciężkie. W parlamencie wielu deputowanych płakało.

A w kilka godzin później przyszła wiadomość o ataku na Pearl Harbour i wojnie między Stanami Zjednoczonymi a Japonią. 11 grudnia wmieszał się do niej i Hitler.

Tym razem Bardossy postanowił być chytry. Wykombinował, że trzeba zrobić „gest". Ale taki gest, [illegible] yby zaspokoił Niemcy, a nie [illegible] dził zanadto Węgrom. Wezwał [illegible] zed swe oblicze Herberta Pella [illegible] d-czył mu, że Węgry zrywa [illegible] ki dyplomatyczne ze Stanami [illegible] nymi.

— Czy to wojna? — [illegible] nie.

Bardossy zaprzeczył. [illegible] bynajmniej o to wszys[illegible] ny zaczął teraz gada[illegible] na temat sprzedaży au[illegible]. Do Waszyngtonu poszła depesza, utrzymana w tonie uspokajającym.

W niedługi czas potem zjawili się u premiera panowie: Werkmeister, niemiecki Chargé d'affaires (poseł był w Berlinie) oraz Włoch, markiz Talamo. Zabrał głos Niemiec, wielce ubolewając nad prawdziwie gorszącym postępkiem Węgier. Przecież zobowiązania ich są takie, że zerwanie stosunków z Ameryką nie wystarczy. Tu trzeba wypowiedzenia wojny. Węgry dały bardzo zły przykład innym krajom i powinny co rychlej błąd swój naprawić.

Bardossy próbował oponować, ale usłyszał w odpowiedzi żeby lepiej dał spokój, bo skutki oporu mogą być dla jego państwa katastrofalne. Markiz Talamo doradzał posłuszeństwo i naśladowanie przykładu Włoch, które wypowiedziały Ameryce wojnę.

Bardossy skapitulował. Wezwał jeszcze raz Pella, który dosłownie zbaraniał, usłyszawszy o co chodzi. A kiedy ochłonął, dowiódł, że jest człowiekiem dobrodusznym.

— Musieliście doznać okropnej presji ze strony Niemiec, by to zrobić — rzekł.

I teraz oto Bardossy zachował się jak człowiek słaby, głupi i chory na kompleks niższości. Słowem, jak błazen.

— Węgry są państwem niezależnym, które nie pozwala się nikomu za nos wodzić! — wrzasnął.

— Świetnie. Jeżeli tak jest, nie mam nic więcej do powiedzenia. Pozostaje mi tylko prosić o wypowiedzenie wojny na piśmie.

Tak oto rządził Węgrami Władysław Bardossy. Historia jego premierowania ważna jest z rozmaitych względów. Chociażby i dlatego, że pomaga zająć określone stanowisko wobec głoszonych u nas niekiedy tez, iż charakter człowieka nic w polityce nie znaczy. Nie zamierzam podejmować tu dyskusji. Niech raczej mówią dopiero co przytoczone fakty.

Kiedy nareszcie Horthy zdecydował się dać Bardossy'emu dymisję, następcą jego na stanowisko premiera został Mikołaj Kallay. Zadanie, które sobie postawił nowy szef rządu polegało na wyplątaniu się z wojny. I oto teraz Bardossy, który przedtem stale tłumaczył, że idzie do wojny pod przymusem i tylko po to, by uniknąć zła najgorszego, czyli okupacji — zaczął raptem z różnych publicznych trybun grzmieć na całe Węgry i wołać, iż wojenna linia postępowania była jedynie słuszna. Stał się prorokiem wojny. „Wierzę, wyznaję i twierdzę, że naród nasz triumfalnie zakończy tę walkę, od której nigdy nie chciał się uchylać" — perorował jeszcze w czerwcu 1944 roku!

Tymczasem Kallay pracował nad niewykonalnym zadaniem. Chciał wycofać się z wojny, pertraktując tylko z Anglosasami i zachowując wrogi stosunek do Z.S.R.R. Bo trzeba pamiętać, że ludzie rządzący wówczas Węgrami sprzyjali pocichu zachodowi, ale do Związku Radzieckiego odnosili się zdecydowanie nieprzyjaźnie.

Tak więc od 10 marca 1942 roku szefem rządu węgierskiego był Mikołaj Kallay. Na mocy potajemnego porozumienia, zawartego pomiędzy premierem a Regentem, nowy gabinet miał dążyć do wycofania się z wojny. Program ten musiał być, rzecz jasna, ukrywany przed Niemcami oraz przed opozycją prawicową, która stale zarzucała rządowi, że zbyt słabo wspie[illegible] Niemcy, że pozwala działać lewi[illegible]com, a zwłaszcza, że nie dopuszcza do eksterminacji Żydów. Oprócz tego trzeba było targować się z Ribbentropem i Keitlem, domagającymi się większych kontyngentów żołnierza' a także parować inne jeszcze posunięcia niemieckie. Tak np. nie powiódł się Niemcom plan całkowitego podporządkowania sobie prasy węgierskiej, która aż do przewrotu w roku 1944 zachowała względną niezależność. W ogóle przyznać trzeba, że rządowi węgierskiemu udało się przez czas długi ochraniać kraj przed totalizacją. Życie na Węgrzech upływało w warunkach przypominających normalne, to znaczy takie, w których prawo jest szanowane.

Premier Kallay — jak to wynika z jego pisma, wysłanego w roku 1944 do Ullein-Reviczky'ego, podówczas już posła w Sztokholmie — życzył sobie zwycięstwa aliantów i marzył o tym, że Węgry oswobodzone zostaną przez Anglosasów. Ale również wyraźnie zaznaczał, że pragnąc „dobro-sąsiedzkich" stosunków z Z.S.R.R. nie chce ich wojsk wpuścić do kraju i gotów jest nawet przeciwstawiać się siłą! Koncepcja polityczna całkiem błędna i nierealna. Jeżeli bowiem Węgry chciały wyjść z wojny, to musiały porozumiewać się nie z Anglosasami, tylko właśnie z Rosją, gdyż to właśnie państwo miało wyprzeć Niemców z centralnej i wschodniej Europy. Wszelkie polityczne flirty z Londynem nic Węgrom pomóc nie mogły. Tymczasem Kallay liczył na jakąś wyimaginowaną zmianę koniunktury i nakazywał posłowi węgierskiemu w Sztokholmie zabiegać o polepszenie opinii anglosaskiej o Węgrzech.

Kallay popełnił jeszcze i ten błąd, iż nie potrafił ukryć swych planów przed Niemcami i oto — kiedy zażądał całkowitego wycofania wojsk węgierskich z frontu — nastąpił zamach stanu. Kallay znalazł się w Mauthausen, a miejsce jego zajął stuprocentowy quislingowiec, generał Sztojay. Stało się to 19 marca 1944 roku. Węgry zostały stotalizowane zupełnie. Wszystkie dotychczasowe ustępstwa Budapesztu okazały się daremne.

Może gdyby Kallay zachował się bardziej ostrożnie i pozostał przy władzy, może wtedy zdecydowałby się zrobić rzecz najpotrzebniejszą, to znaczy poprosić Sowiety o pokój. Tak, jak to uczynili satelici Niemiec.

To się nie stało. Wobec tego warto wspomnieć o węgierskich daremnych trudach, czyli o próbach ratunku w drodze porozumienia się z Anglosasami.

Kontakty te nawiązane zostały w lecie 1942 roku, a dokonał tego Ullein-Reviczky, podczas pobytu w okolicach Stambułu u swego teścia, Anglika. Potem wysłany został do Stambułu, jako emisariusz, Andrzej Frey, redaktor liberalnego dziennika Magyar Nemzet. Ze strony węgierskiej firmowali te pertraktacje: premier i nowy szef sztabu, gen Szombathelyi, ze strony zaś angielskiej rząd i kwatera główna z Kairu. Węgrzy zakomunikowali co następuje: 1) Kraj nie będzie stawiać najmniejszego oporu wkraczającym regularnym wojskom anglosaskim i polskim, ale wyprasza sobie wszelkich partyzantów, 2) Węgry gotowe są czynnie wystąpić przeciwko Niemcom, 3) oferta ta ma na celu ratowanie narodu, nie zaś rządu węgierskiego.

Wszystko to zostało zakomunikowane Anglikom w lutym 1943 roku. Ale ci ostatni zażądali przysłania do Turcji dwu wyższych oficerów, którzy by sfinalizowali rokowania. Ponieważ warunek ten był niemożliwy do spełnienia — nadzór niemiecki działał zbyt sprawnie — pojechał na kontakt w lecie 1943, niejaki Veress. Młody ten i gorliwy człowiek przywiózł ze swej podróży cenny nadajnik radiowy, który aż do marca 1944 służył do utrzymywania kontaktu pomiędzy Budapesztem a Kairem. Ale niedoświadczony, a chcący jak najlepiej emisariusz zaofiarował Anglikom ni mniej ni więcej tylko bezwarunkową kapitulację swego kraju.

Ponieważ w tym samym czasie Ullein-Reviczky jechał do Sztokholmu na stanowisko przedstawiciela dyplomatycznego — a do prowadzenia pertraktacji potrzebny był człowiek doświadczony — premier Kallay powierzył tę funkcję właśnie jemu.

W dniu 1 grudnia 1943 roku Reviczky nawiązał kontakt z przedstawicielami Joint Chiefs of General Staff (wspólne dowództwo anglosaskie). Obrady odbywały się w atmosferze przyjaznej. Nic dziwnego, skoro zważymy, że Senat amerykański uznał, iż Stany prowadzą wojnę z rządem węgierskim, a o narodzie nie wspominał. Co do owej kapitulacji bezwarunkowej, to Reviczky wyplątał się, oświadczając: „Mamy tylko jeden warunek: żebyście przyszli jak najprędzej. Resztę załatwicie sami, zgodnie z waszym interesem i sumieniem".

Wszystko to nie miało już jednak realnego znaczenia, bo właśnie konferencja teherańska uznała wschodnią Europę — a więc i Węgry także — za radziecką strefę operacyjną. O pokój należało więc zabiegać tylko na Kremlu. Bez naczenia był i ten fakt, że w dniu 16 marca 1944 roku wylądowało na Węgrzech trzech spadochroniarzy, brytyjskich oficerów. Zresztą w trzy dni potem Węgry utraciły resztę niezależności.

Ullein-Reviczky, który odmówił posłuszeństwa nowemu „rządowi", zabiegał odtąd o to, by kraj dał jakiś znak czynnego oporu, a Regent zdecydowanie oświadczył się za pokojem. Nastąpiło to dopiero 15 października 1944 roku, gdy Horthy zwrócił się przez radio do otaczających już Budapeszt Rosjan z prośbą o pokój.

*) Antal Ullein-Reviczky, Guerre allemende paix russe. Wydawnictwo: La presse francaise et etrangere. Oreste Zeluck. Paris 1947 r.

BŁĘDNE DROGI KS. WAWRYNA

(dokończenie ze str. 2-ej)

we. Doprawdy trudno wyobrazić sobie porozumienie pomiędzy robotnikami huty czy fabryki butów, a właścicielami hut czy fabryk, którzy z reguły są właścicielami akcji i przeważnie nigdy nie byli w zakładzie, którego są właścicielami, a nawet częstokroć nie znają kraju w którym znajduje się ich własność. Nie można budować ustroju społeczno - gospodarczego nie licząc się z procesami rozwojowymi, które wskazują, że w wyniku koncentracji produkcji występuje zjawisko animowości kapitału i rozdziału pomiędzy właścicielem a fizycznym posiadaniem przedsiębiorstwa i kierownictwem, a przecież właśnie te zjawiska podważają przesłanki na których opiera się korporacjonizm. Również nie wolno łudzić się, że rząd i administracji mogą być bezstronnymi arbitrami w sporach pomiędzy klasami. Czyż mało mamy przykładów jak klasa kapitalistyczna potrafi oddziaływać na politykę rządu w kierunku dostosowywania jej do własnych interesów. Oczywiście klasa robotnicza, której uświadomienie polityczne i poczucie siły jest już faktem dokonanym nie daje za wygraną i przy pomocy dostępnych jej środków walczy w obronie swych praw i z kapitalistami i z oddanym im rządem. Rezultaty takiego układu stosunków występujące na terenie życia gospodarczego i politycznego są znane. Korporacjonizm nie potrafi im zapobiec ponieważ jest wytworem zapatrzenia się w średniowieczne stosunki społeczno - gospodarcze (np. cechy) które z rzeczywistością XX wieku nie wiele mają wspólnego. Tak więc walka klasowa jedna z najbardziej charakterystycznych cech ustroju kapitalistycznego wystąpi również w ustroju korporacyjnym.

Również kryzysy gospodarcze będą nieuniknione w usroju, którego entuzjastą jest ks. Wawryn. Wiadomem bowiem jest ze kryzysy powstają przede wszystkim na tle braku koordynacji pomiędzy produkcją a konsumcją w szerokim tego słowa znaczeniu. Wiadomem dalej jest, że koordynację tę można osiągnąć przede wszystkim na drodze planowania. A czyż przy oparciu produkcji na małych i średnich przedsiębiorstwach indywidualnych system planowania może sprawnie funkcjonować. Teoretyczne rozważania i doświadczenia choćby nasze zaprzeczają temu. Mało tego, zdając sobie sprawę z zasadniczych różnic jakie istnieją pomiędzy planowaniem socjalistycznym a kapitalistycznym, podkreślam przewagę na odcinku planowania ustroju późnokapitalistycznego nad ustrojem korporacyjnym. Przewaga ta wynika przede wszystkim z większego stopnia koncentracji produkcji. W rezultacie wzrost dochodu narodowego w ustroju korporacyjnym, który jest pomyślany jako korektura kapitalizmu będzie o wiele słabszy aniżeli w ustroju późnokapitalistycznym.

W końcu należy rozważyć w jakim stopniu może być urzeczywistniony w ustroju korporacyjnym sprawiedliwy podział dochodu narodowego. Pierwszą przeszkodą będzie jak to już zaznaczono słaby wzrost dochodu narodowego. Im mniejszy bochenek chleba tym trudniejszy jego sprawiedliwy podział. Drugą zasadniczą przeszkodą będzie atomizacja przedsiębiorstw indywidualnych, która utrudni, o ile nie uniemożliwi, kontrolę dochodów tych przedsębiorstw, a przecież dopiero na tej podstawie mogą być dokonywane właściwe przesunięcia w podziale dochodu. Równocześnie należy podkreślić, że skłonność do wyzysku i możliwości wyzysku wcale nie są mniejsze w mniejszych przedsiębiorstwach. Przeciwnie, częstokroć wyzysk drobnych kapitalistów jest bardziej dotkliwy, aczkolwiek mniej widoczny. I znowu trzecia cecha kapitalizmu niesprawiedliwy podział dochodu nie zniknie w ustroju korporacyjnym. Ale nawet gdyby założyć, że bezpośrednio po wprowadzeniu ustroju korporacyjnego uda się złagodzić społeczno - gospodarcze objawy kapitalizmu, to nie ma żadnych gwarancji utrzymania takiego stanu rzeczy. Pozostawienie bowiem prywatnej własności na środkach produkcji musi spowodować wcześniej czy później przejęcie kierownictwa życia gospodarczego i politycznego przez klasę kapitalistów z wszystkimi tego faktu konsekwencjami.

W ten sposób nakreśliłem ogólną ocenę ustroju korporacyjnego, w którym ks. Wawryn widzi owo trzecie rozwiązanie. Reasumując uważamy, że ustrój ten, aczkolwiek oparty o szlachetne przesłanki, jest nierealny, ponieważ jest sprzeczny z istniejącymi procesami społeczno - gospodarczymi, oraz jest nieudolny, gdyż nie zapewnia maksymalnego i stałego wzrostu dochodu narodowego i nie stwarza warunków dla sprawiedliwego podziału dochodu narodowego.

Jako drugie sporne zagadnienie wymieniłem na wstępie rozbieżności co do interpretacji społecznych encyklik papieskich.

Z wywodów ks. Wawryna powołującego się w wielu punktach na oświadczenia obecnego papieża i szeregu pisarzy katolickich wynika:

1) że encykliki papieskie kanonizowały solidaryzm będący podstawą korporacjonizmu,

2) że encykliki papieskie usankcjonowały prawo prywatnej własności na środkach wytwórczych,

3) że encykliki papieskie potępiły socjalistyczny ustrój,

4) że każda inna interpretacja poza wyżej wymienioną jest nie dopuszczalna.

Nasze stanowisko jest znowóż wręcz odmienne i można go streścić w następujących punktach:

1) o kanonizacji jakiegokolwiek ustroju ani o sankcjonowaniu w szczególności prawa własności prywatnej na środkach wytwórczych w encyklikach nie ma mowy, natomiast cytuję jeszcze raz (vide mój artykuł z 16.I.49 część IV) słowa Piusa XI, który szkicując pewne koncepcje ustroju korporacyjnego pisze że „ustrój własności podobnie jak i inne czynniki życia społecznego nie jest, świadczy o tym historia — niezmiennym“, a Leon XIII głosi, że „określenie własności Bóg pozostawił przemyślności ludzi i urządzeniom narodów“.

2) Pozytywne stanowisko papieży wyrażone w encyklikach w stosunku do ustroju korporacyjnego, a negatywne w stosunku do socjalizmu wynikało z warunków istniejących w czasie wydawania encyklik. Ponieważ warunki te uległy zasadniczym zmianom wydaje się rzeczą uzasadnioną poddać rewizji odnośne sformułowania, które figurują w encyklikach.

3) Podporządkowując się wskaniom encyklik w zakresie celów życia społeczno - gospodarczego nie uważamy się za związanych poszczególnemi koncepcjami rozwiązania problemów społeczno-gospodarczych, przy czym twierdzimy, że w tym przedmiocie nie obowiązuje katolików posłuszeństwo o charakterze religijnym (vide „Dziś i Jutro“ z 15.V. br. wypowiedź zawarta w „Wiadomościach Archidiecezjalnych Warszawskich“ w sprawie doktrynalnego autorytetu encyklik papieskich).

4) Dyskwalifikowanie jako katolika każdego, który akceptując wskazania encyklik dąży do dostosowania sformułowań zawartych w tych encyklikach wskazań do nowych zmienionych warunków— jest nie tylko niesłuszne, lecz również z punktu widzenia rozwoju katolickiej myśli społecznej szkodliwe.

Koncepcje społeczno - gospodarcze nie mogą być skostniałe. Przeciwnie, muszą ewoluować stosownie do zmieniających się warunków właśnie dlatego, aby służyć niezmiennemu celowi. Nasza interpretacja bynajmniej nie zmierza do zniekształcania myśli papieży o co nas ks. Wawryn posądza. Przeciwnie staramy się wniknąć zarówno w ducha encyklik, jak i w ducha całej katolickiej nauki społecznej i w ten sposób zachować istotę wiecznych prawd. Natomiast twierdzimy, że właśnie niewolnicze utrzymywanie sformułowań dokonanych przed laty może w zmienionych warunkach prowadzić do wypaczania tego co powinno być niezmienne. Od 1931 r. (nie mówiąc już o 1891 r.) do 1949 r. wiele rzeczy w świecie uległo zmianom. Zwracam tylko uwagę na trzy wydarzenia: olbrzymi postęp techniczny, znacznie większy aniżeli w poprzednim dwudziestoleciu zdynamizowanie się mas robotniczych, wzrost potęgi ZSRR, pierwszego państwa socjalistycznego. Czyż gdyby tylko wziąźć pod uwagę te fakty nie należałoby pomyśleć o radykalnej rewizji katolickich koncepcji społecznych opracowanych przed dwudziestu laty czy nawet dawniej. Tymczasem ks. Wawryn w swoich artykułach nie dodaje do stanu z 1931 r. ani jednej nowej myśli. Czy taki stosunek do encyklik papieskich i katolickiej nauki społecznej jest właściwy? Odpowiadamy zdecydowanie: nie. Dla nas katolicyzm to żywa treść, której nie można i nie wolno zamykać w skostniałe formy, natomiast trzeba ją wtłaczać w nowe formy życia społecznego i gospodarczego. Jesteśmy głęboko przekonani, że właśnie takie stanowisko jest zgodne z duchem encyklik społecznych.

IV.

Reasumując przeprowadzoną dyskusję dochodzę do następujących konkluzji:

1) Punkt ciężkości sporu pomiędzy ks. Wawrynem a naszą grupą leży przede wszystkim w różnej ocenie rzeczywistości społeczno - gospodarczej i jej kierunków rozwojowych. Dlatego to co dla nas jest już „oczywistą koniecznością“ dla ks. Wawryna jeszcze nie jest. Dlatego my opowiadamy się za ustrojem socjalistycznym, który jest radykalnie odmienny od, ustroju kapitalistycznego, a dlatego ks. Wawryn usiłuje iść jeszcze drogą pośrednią, kompromisową i opowiada się za korporacjonizmem. Natomiast zarówno my jak i ks. Wawryn pragniemy, aby proponowane przez nas koncepcje służyły realizacji zasad ewangelicznych. W związku z powyższym uważam że dyskusja powinna iść w kierunku ustalenia czyja ocena rzeczywistości i kierunków rozwojowych jest słuszna. Jeśli bowiem przekonamy ks. Wawryna, że nasza ocena jest słuszna, prawie wszystkie jego zarzuty staną się bezprzedmiotowe.

2) Wydaje się, że katolicka nauka społeczna zanadto tkwi w socjologii a za mało w ekonomice stąd w wypowiedziach większości publicystów katolickich ujawniają się rażące luki w zakresie znajomości zagadnień gospodarczych, co oczywiście nie pozostaje bez wpływu na wysuwane koncepcje.

3) Kwestionowanie katolickości tych, którzy opowiadają się za socjalistycznym ustrojem społeczno-gospodarczym i równocześnie domagają się uwzględnienia w tym ustroju zasad ewangelicznych nie znajduje żadnych dogmatycznych podstaw, a jest przytem co najmniej dziwne wobec pełnej tolerancji w stosunku do tych, którzy opowiadali się czy też opowiadają się za ustrojem kapitalistycznym ocenionym przez miarodajnego publicystę katolickiego jako „grzech przeciw naturze“.

Konstanty Łubieński

Pierwszy po wojnie Międzynarodowy Konkurs Chopinowski, którego otwarcie w ramach Roku Chopinowskiego nastąpi w Warszawie w dniu 15 września br., wzbudził zainteresowanie kół muzycznych całego świata.

Do udziału w konkursie napłynęły już zgłoszenia z kilkunastu krajów. Związek Radziecki zapowiedział udział 10 — 12 kandydatów. Zgłoszenia nadesłali pianiści: z Austrii (9 kandydatów), Węgier (8), Brazylii (6), Anglii (6), Jugosławii (5), Meksyku (2), Stanów Zjednoczonych (8), oraz z Bułgarii, Czechosłowacji, Niemiec, Szwajcarii, Urugwaju i Włoch — po jednym kandydacie. Polonia zagraniczna reprezentowana będzie przez 1 kandydata.

Ekipa polska składać się będzie z kandydatów wyłonionych drogą eliminacji krajowych.

W skład międzynarodowego jury konkursu wejdą: z Polski — Zbigniew Drzewiecki (przewodniczący jury), Bolesław Woytowicz, Jan Ekier, Jak Hofman, Henryk Sztompka, Roman Jasiński i Jerzy Żurawlew, inicjator międzynarodowych konkursów chopinowskich; z zagranicy: Carle Zecci, Lew Oborin i Paweł Sieriebriakow (ZSRR), Francisszek Maxian (Czechosłowacja), Dymitr Nenow (Bułgaria), Lajosz Hernandi (Węgry), Alfred Mendelson (Rumunia), Marguerite Long i Lazare Levy (Francja), Frantz Joseph Hirt (Szwajcaria), Gotfried Boen (Szwecja), Magdalena Tagliaferra (Brazylia), Artur Hendley (Anglia), Joseph Marx (Austria), Sem Dresden (Holandia), Blas Calindo (Meksyk), oraz Olin Downes (USA).

Mężem zaufania jury będzie Jerzy Lefeld, komisarzem konkursu mianowany został Witold Rudziński.

Przewidziane są na konkursie następujące nagrody:

Nagroda pierwsza — Prezydenta Rzeczypospolitej w wysokości — 500 tys. zł.

Druga — Prezesa Rady Ministrów— 400 tys. zł.

Trzecia — Ministra Kultury i Sztuki — 300 tys. zł.

Czwarta — Prezydenta m. st. Warszawy — 250 tys. zł.

Przewidziane są poza tym dalsze nagrody: Związku Kompozytorów Polskich (250 tys. zł.), Polskiego Radia za najlepsze wykonanie mazurków (nagroda symboliczna), Polskiego Wydawnictwa Muzycznego (Zbiorowe wydanie dzieł wszystkich Chopina) itd.

Uczestnicy konkursu będą mieli zapewnione bezpłatne utrzymanie w okresie trwania konkursu oraz pokryte koszty podróży na kolejach polskich.

WNĘTRZE i WYSTAWA
PL. GRZYBOWSKI 2 WARSZAWA

SP Z O.O.

PROJEKTUJE I WYKONYWA WNĘTRZA I WYSTAWY

WSZELKIE WNĘTRZA, ŁĄCZNIE Z MEBLAMI BUDOWA WYSTAW

Droga

(dokończenie ze str. 3)

nienia siodło. Dzwonią leciutko sprzączki popręgu, szoruje o żelazo zetlały filc. Potem zasówka otwiera się z suchym trzaskiem i po chwili znana dłoń spada poufale na zad leżącego wierzchowca. — He Furioso. Wstawaj Furioso. Dźwiga się spłoszony. Już bardzo dawno pan nie przychodził do niego. Ciemna klitka wypełnia się migoczącym, stłumionym blaskiem stajennej latarni. Owinięta w czarną peleryną, masywna postać krząta się nie zgrabnie, rzucając wokół ogromne, rozchwiane cienie. Oto podniecający jak wspomnienie rozkoszy ucisk popręgu na brzuchu, oto śliski pas napierśnika. Już wędzidłem przygotowana uzda. — Stój Furioso. Czekaj. Pojedziemy; pojedziemy daleko. Musimy być gotowi, jak przyjdą.

Pan schyla się mrucząc, podnosi z ziemi małą puszkę z wetkniętym w nią pędzlem i nagle mocną garścią chwyta czuprynę ogiera nad czołem.

— Stój. Nie bój się.

Lepka wilgoć spływa z pędzla po nosie i oto biel strzałki gaśnie pod warstwą czarnej farby.

— Będziesz czarny, Furioso — mówi książę. — Czarny jak noc, jak tamte. Jedziemy w nocną drogę Furioso.

SKRZYPKI

(dokończenie ze str. 5)

— Zdawało ci się — uciął Jerzy — za prędko żeś umykał.

Po chwili podnieśli się ruszając w dalszą drogę. Wkrótce las się skończył i wyszli na odkryte ścierniska. Dłuższy czas ciągnęły się rzadkie zarośla, potem znów lasek i stanęli na skraju rozległego ugoru.

— Uwaga — rzucił cicho Jerzy będziemy za chwilę przechodzić przez szosę. Idziemy w takiej odległości, żeby jeden drugiego ledwie widział. Uważać aby butami nie trącać o kamienie. Tutej często patrole z Obrytego się włóczą. Słuchać dobrze jak co to wolno kucać i czekać. Kierunek na tamta grupę topoli — wskazał ręką odległa sylwetkę drzew.

I pamiętajcie — cedził wolno — żadnego popłochu! Potem, rozejrzawszy się chwilę ruszył jak cień naprzód. Mietek poczekał aż się dobrze oddalił i wtedy wolno poszedł z nim. Chmury nieco zrzedły i na niebie zamigotało kilka anemicznych gwiazd. Widoczność się trochę poprawiła. Posuwali się tak cicho, że żaden z nich nie słyszał kroków towarzyszy. Mietek dostrzegając jak Jerzy kuca od czasu do czasu automatycznie zginał się z nim razem, a był pewien, że robi to również Franek. Szosa była nie dalej jak trzysta metrów. Długą jasną taśmą szarzała na ciemnym tle ugorów. W pewnej chwili Jerzy kucnąwszy nie podniósł się już więcej i Mietek przeczekawszy chwilę sądził, że go po prostu zgubił z oczu i miał już zamiar wstawszy iść dalej, gdy nagle wypłynął przed nim zgięty kształt Jerzego. Dojrzał ostrzegawczy ruch ręki i sygnał, żeby się również wracał. Bez słowa przylgnąwszy prawie do trawy na czworakach rozpoczął wędrówkę wstecz. W pewnej chwili głuche puknięcie pudłem o kamień przeleciało mu zimnym dreszczem po krzyżu.

—Ah niedołęga — szarpnął się wściekły — skrzypek mu się zachciało... Spojrzał niespokojnie w stronę szosy. Cofnąwszy się jeszcze kilkadziesiąt kroków do tyłu podnieśli się wreszcie.

— No? — rzucił pytająco Mietek.

— Tam pod kamionką ktoś siedział, prawdopodobnie wacha — odrzekł szeptem Jerzy — obejdziemy ich łukiem.

Zatoczywszy spore koło prześlizgnęli się szybko przez szosę.

Droga ich wiodła teraz przez świeżo zaorane pola. Pod zwiększonym ciężarem nogi zapadały się w pulchną ziemię prawie po kostki. Ramiona obciągane pasami plecaków piekły coraz dotkliwiej. Podrzucanie pinkli na barki nie wielką przynosiło ulgę. Jerzy jednak przecząco kiwał głową, ciągnąc szybkim marszem naprzód.

— Za dużo żeśmy czasu stracili nie może nas księżyc na drutach zastać, jeszcze kawałek a odpoczniemy. Zaplatając więc pod pinklami ręce i ziając otwartymi ustami, posuwali się wytrwale. Delikatny powiew wiatru przynosił im ulgę. Z daleka dolatywało naszczekiwanie kundli w niewidocznych zagrodach. Wreszcie ominąwszy z boku niedużą wieś zanurzyli się w stary, mieszany las. Rozciągał się on wielokilometrowym pasem wokoło. Do granicy dzielącej „Prusy" od Generalnej Guberni pozostało niecałe sześć kilometrów.

Znalazwszy wreszcie T[illegible] U[illegible]ętą polankę tak jak stali nie [illegible]ąc miejsca rzucili się na ziemię. Ł[illegible]wilę słychać było tylko głębokie z[illegible]zone oddechy. Wilgotna od rosy ściółka leśna przyjemnie chłodziła rozpalone głowy. Leżeli całkiem cicho, gdy wtym niedaleko rozległ się trzask łamanych gałęzi, a zaraz potem doszedł z gąszczu drzew gderliwy, ochrypły jęk. Franek, aż przysiadł z wrażenia, wstrzymując oddech. Jerzy leżący obok parsknął cichym śmiechem.

— Nic — rzucił chichocząc, to tylko jakiś zdradzony kozioł włóczy po nocy. W tym lesie aż roi się od zwierzyny. Sam kiedyś wlazłem na śpiącego warchlaka, nie wiem — dodał uśmiechając się znowu — który z nas bardziej się wtedy przestraszył. Dajno kapotę Miet, zapalę zapałkę, trzeba zobaczyć która godzina.

— No?

— Dwadzieścia po pierwszej, a więc bracia rodacy, jeszcze dziesięć minut i następny odpoczynek jak dobrze pójdzie to już w G. G.

Przycichli trochę. Mietek przymknąwszy oczy przeniósł się myślą do Warszawy. Matka nawet nie przypuszczała gdzie się znajduje. Patrząc w podłogę oznajmił, że na kilka dni do kolegi do Piotrkowa jedzie. Przypatrzywszy mu się uważnie nie wypytywała więcej. Przycisnęła go tylko gdy wychodził mocno do piersi, całując w głowę. W domu już od tygodnia jedli nie kraszoną kartoflankę. A tu naraz tyle pieniędzy można będzie zarobić. Matce buty się kupi, Ance jakiś miły prezent — najlepiej tę broszkę z zodiakiem, tak jej się wtedy podobała — uśmiechnął się ciepło. Byleby tylko przejść westchnął naraz żarliwie.

— No co Franuś, a może się jeszcze rozmyślisz? — zagadnął złośliwie Jerzy — widzisz w Warszawie teraz bieda po co tam się pchać.

Ee... pan myśli że ja taki bojący — uśmiechnął się dziwnie Franek.

— Nie podejrzewam tylko żebyś przez roztargnienie pinkla na drutach nie zostawił. Tu poważniejąc dodał — słuchajta chłopaki a przy zasiekach to choćby i pół godziny siedzić a nie śmiemi żaden druta trącić. Taki dźwięk poruszonych drutów działa lepiej od dzwonka alarmowego na drzemiących grenzschutzów. Pamiętajcie po malutku, po centymetrze, to można się o pięć kroków od nich prześlizgnąć. Dlatego tych z Pniewa tak wyłapują, bo jak który dotrze już do drutów, to nie patrzy na nie tylko aby szybciej na drugą stronę i w krzaki. A to czyste samobójstwo — dokończył.

Dźwignęli się wolno z miejsca. Stary las naszpikowany gęstą wilgotną czernią, tysiącznymi szmerami zawisł w powietrzu. Raz wraz dochodziły różnorakie piski i spłoszone trzaski łamanych w biegu zeschłych gałązek. Czasem w splątanej gęstwie koron zatrzepotał się głośno ptak zbudzony nagłym niebezpieczeństwem.

Szli teraz znacznie uważniej. Las mienił się ciągłą mieszaniną form i gatunków. Przebywali odcinki wieloletniego starodrzewiu, gęsto zarośnięte zagajniki, płaty podmokłych trzęsawisk, by po przecięciu jakiejś poręby znaleźć się znów między stuletniemi kolumnami sosen i świerków. Jerzy prowadził pewnie. W największej gęstwinie wynajdywał zawsze jakąś znajomą ścieżynę i jak kot szarzejąc garbem pinkla w mroku, skradał się naprzód. Czasami wychodzili na otwarte dukty i wtedy jeszcze bardziej skupiając się w sobie, jak cienie bezszelestnie sunęli w bardziej zwarte odcinki młodego lasu. I tam co kilkanaście kroków aż szarpiąc wszystkiemi nerwami rozlegał się zgrzyt ostrych gałęzi o pudło Franka.

— Muzyk! A niechże go wszyscy diabli! Skrzypek mu się zachciało — pienił się po każdym hałasie Jerzy. Zatrzymał się wreszcie wyciągając po futerał rękę.

— Dajno to — zwrócił się do Franka — ja je będę niósł.

Franuś zaniepokoił się nie puszczając pudła.

— Kiedy to proszę pana ja bym wolał sam — rzucił niepewnym szeptem.

— Nie bądźże głupi — zirytował się Jerzy — przez twoje durne skrzypki wszyscy tu wpadniemy. Wyjął mu z ręki futerał ruszając naprzód. Sytuacja nie wiele się jednak polepszyła. Jerzy bowiem idąc pierwszy często rozgarniał gałęzie i mimo największej uwagi zawadzał również pudłem o różne badyle lub sęki. Zwrócił się wreszcie zrozpaczony do Mietka.

— Weź to diabelstwo, ja muszę mieć obie ręce wolne — ale też dureń ze mnie, że tego nie przewidziałem — wybuchnął cicho.

Nie odzywając się już więcej prześlizgiwali się między chaszczami. Mietek z nienawiścią ściskał przed sobą pudło. Koło każdego krzaka aż wgniatał je w siebie osłaniając futerał własnym ciałem. Wszystkie mijane gałęzie jakby w szatańskiej zmowie wyciągały ku niemu pazury. Mietek niósł skrzypki przed sobą z boku a nawet z tyłu pod pinklem. Zawsze jednak w chwili najmniejszej nieuwagi, jakiś zeschły konar zgrzytliwym chichotem rozgłaszał ich obecność. Mietek u krańca rozpaczy chciał już zostawić je pod krzakiem, myśląc o wynagrodzeniu potem Franka, lecz ten jakby zgadując jego myśli zbliżył się doń i idąc o dwa kroki nie odstępował go już ani na chwilę. Mietek zrezygnowany rozpiął kurtkę osłaniając nią skrzypki jak dziecko. Pomysł okazał się dobry.

Zarośla poczęły się przerzedzać przechodząc w pojedyńcze kępy. Dochodzili do drutów. Chłopcy zamienili się cali w słuch. Sunąc jak widma od krzaka do krzaka, nie oddychając prawie wypatrywali niebezpieczeństwa. Przy jakiejś rozleglejszej kępie Jerzy nachylił się nad nimi:

— Dochodzimy, pamiętajcie wolno i cicho! — wycedził z naciskiem. Odsunął się zaraz łowiąc uchem nadlatujące szelesty. Przy każdym krzaku zatrzymywali się teraz kilka minut trwając zgięci, prawie w bolesnym natężeniu. Wychyliwszy się wreszcie zza dużego głogu Mietek z dreszczem ujrzał kilkadziesiąt metrów przed nimi dwa szaro - sine węże zasieków. Rozciągały się w gładkim polu które paręset kroków dalej zlewało się z niewyraźną linią lasu. Jerzy kucnąwszy zastygł jak bryła, potem wolno nie unosząc się więcej sunął w stronę drutów. Mietek przytrzymując nieszczęsne skrzypce popełznął za nim. Kilka rozciągających się w nieskończoność chwil i znalazł się przy zasieku. Jerzy przechodził już pod drugim. Ostrożnie zrzucił pinkiel. Pod drutami porozgrzebywana ziemia tworzyła płytkie leje, należało tędy przesunąć się na drugą stronę. Drżącą ręką odchylił drut Zaciskając zęby, aż do bólu przywarł do piachu przesuwając skrzypki przed siebie. No! niech teraz który kolec zawadzi o pudło — aż mu się zimno od tej myśli zrobiło. Podciągając pinkiel, po centymetrze prawie sunął na drugą stronę. Między zasiekami było kilka metrów odstępu. Mietek musiał użyć całej siły woli, aby tu nie przyśpieszyć kroku. Ostatnie druty i puste pole. Zarzuciwszy pośpiesznie na ramiona plecak gorączkowo popełznął na przód. Kilka metrów przed nim szarzał pinkiel Jerzego. Franek sunął tuż za nim. Minęli już prawie pół drogi do lasu i czując się trochę pewniej unieśli się nieco. Lecz w tej samej chwili gdzieś od zasieków przejmująco trzasnęła rakieta z sykiem wylatując w powietrze. Mietek na ułamek sekundy znieruchomiał czując nagłą czczość w dołku. W chwilę potem jak spłoszone zające poderwali się pędem w stronę lasu.

Ostry świergot kul ciął im powietrze nad głowami. Zaklaskały bliskie strzały. Chłopcy odruchowo rzucili się na ziemię. Koniec — Mietek z rozpaczą spojrzał w stronę lasu — za daleko!

— Halt! Halt! Trzy wrzeszczące sylwetki biegły od drutów. W tej samej sekundzie do Mietka przypadł Franek.

— Skrzypki! — rzucił jakimś zduszonym głosem.

— Zwariował — przemknęło Mietkowi przez myśl.

Ten gorączkowo szarpnął pudło. I nagle stało się coś niesamowitego. W ręku Franka zamigotał podłużny czarny przedmiot. Rozległ się suchy trzask odwodzonej iglicy i mało nie rozsadzając w uszach bębenków rozgdakał się M. P. Mietek rozszerzonymi oczyma dojrzał jak nadbiegający Niemcy zachwiawszy się nagle osuwają się bezwładnie na ziemię. Uczuł jednocześnie jak coś co stanęło mu w piersi zatrzymując oddech, wolną falą rozpływa się po ciele...

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

„AUTORZY"

Nawiązując do artykuły p. Wnuka w 31 numerze „Dziś i Jutro", pragnę w całej rozciągłości potwierdzić słuszność uwag poczynionych przez autora, a jedynie celem pełniejszego przedstawienia omawianej akcji „Autorzy wśród swoich czytelników", pozwolę sobie na dodanie jednego niezbędnego moim zdaniem szczegółu.

Jest rzeczą istotną, iż „linia niedowładu" (kulturalnego) północnego odcinka — jak się wyraża za K. Wyką p. Wnuk — uległa ostatnio zmianie na lepsze. W dużej mierze jest to zasługą Inspektoratu Kulturalno - Oświatowego „Czytelnika" w Olsztynie, który działalność swą „ukoronował" niedawno sprawozdaniem całego szeregu autorów z odczytami oraz zasługą nieszczędzącego sił w pracy na polu kulturalnym — Gdańskiego Oddziału Z.L.P. Lecz pośród licznych wymienionych w artykule nazwisk pisarzy, bawiących w ramach akcji oświatowej na Mazurach i Warmii, pominięte zostało prawie całkowicie nazwisko jednego z najgłośniejszych i najbardziej znanych tamtejszej ludności prelegentów, nazwisko autora książki „Walka podziemna na szczytach", recenzji: „Bolesław Chrobry", „Stare i nowe" oraz szeregu cennych artykułów w prasie.

Pisarzem tym i zarazem najentuzjastyczniej witanym wszędzie prelegentem jest właśnie sam autor artykułu — Włodzimierz Wnuk.

Jako uczestnik prawie wszystkich wieczorów literackich w Olsztynie, miałem możność podziwiania niebywale pięknych i treściwych prelekcji p. Wnuka, dzięki którym to zdobył on nie tylko uznanie i sympatię całej uczącej się młodzieży woj. olsztyńskiego, ale przede wszystkim uzasadnił w praktyce powiedzenie, iż niejednokrotnie młody i początkujący pisarz, może znacznie więcej zdziałać na polu upowszechniania kultury literackiej niż „rzeczywisty" członek Zw. Literatów.

Mając w pamięci olsztyńskie spotkanie p. Wnuka i... autora „Pawich piór", gotów jestem wypowiedzieć się wyłącznie za młodymi, a na pewno nas nie zawiodą jako odpowiedzialni prelegenci terenowi.

Z poważaniem
Wiesław Terez

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński, Andrzej Micewski. **Wydawca:** Kolegium Redakcyjne.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81, m. 17, tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr. I-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz wtorków i sobót, godz 12.30 — 13.30 Prenumerata miesięczna 60 złotych Kwartalna 180 złotych.

Druk. Skolimowska 5. B-84425